

świecie wszystko w pocie czoła ludzkości przychodzić musi, nawet podróż na odpust do Czerniakowa. Marziliśmy niedawno, dziś skarżymy się na gorąco; jakże tu dogodzić ludziom? Zaprawdę, niechciałbym za nic w świecie być regulatorem pogody, bo to gorzej jeszcze niżli pisać kroniki tygodniowe: zawsze się znajdzie mnóstwo malkontentów, zawsze się spotkać trzeba z tysiącami wyrzekań, chociażby wszelkimi siłami wszystkim dogodzić się pragnęło.

Kto na tym zyskał?

Oto Bilse najwięcej, a ponim właściciele szwajcarskiej doliny, która przez te wszystkie dni ciągle była pełną. Zdaje się że cała Warszawa obmyśla sobie tam co wieczór schadzkę; szereg powozów rozciąga się aż do ogrodu botanicznego, a ta mała dolinka po kilka tysięcy osób dziennie mieści. Nie mamy nic przeciw temu powodzeniu entrepreneurów zabaw publicznych, ale ośmielamy się zapytać, czy już tak na prawdę zbrakło stolarzy w Warszawie naszej, że na całą tę publiczność nie można wygodnych siedzeń obmyśleć. Bo naprawdę ci którzy nie przybędą przed rozpoczęciem muzyki i nie pomyślą o wczesnym a wygodnym usadowieniu się, zmuszeni są stać lub przechadzać się podczas całego koncertu, albo odbywać formalną licytację z garsonami, którzy za każdy kawałek ławki lub krzesła dobrze sobie płacić każą. Ja sam zmuszony byłem zapłacić dwa złote za jakieś resztki stolika dziecinnego o trzech nogach, na którym przez cud tylko ekwilibryczny zdołałem się utrzymać w stanie równowagi. To jedno szczęście, że podług przepisów tegoczesnej medycyny ucze się gimnastyki i zastosowawszy teorię doktora Schöbera do mojego trzynożnego stołka, oparłem się przez trzy godziny sile ciężenia do środka ziemi, chociaż trzeba przyznać że to czynił z najwyższym wysileniem. Jeżeli po to mają być dawane koncerty w dolinie szwajcarskiej, żeby publiczność okazywała na nich akrobatyczne sztuki, idąc w zawody z gimnastykami Renza et consortes, to sądzę że moda tych koncertów i zamiłowanie w nich publiczności niezbyt długo potrwa. Wszakże własny interes powinienby podyktować właścicielom, jakie ulepszenia poczyniłoby wypadało; niech biorą wzór z zakładów tego rodzaju zagranicą istniejących, gdzie o wygodzie publiczności przedewszystkiem pomyślano. Ba, jeden albo drugi zapragnąłby nawet kazać sobie co podać z bufetu; lecz nie mówiąc już wcale o trudności dociśnienia się do tego przybytku butersznitów i kalteszalu, dodać musimy że każdy woli spożywać posiłek w postawie Jowisza olimpijskiego, aniżeli umierającego gladiatora, chociaż ten drugi estetyczniejszy może w formach.

Tyle słów moich o szwajcarskiej dolinie.

Donoszą nam z Paryża, że tam na balu kostiumowym, który niedawno miał miejsce, rodaczki nasze rej wodziły pod względem gustu i przepychu w ubiorze. Piękna to rzecz rozgłos, do którego dzisiaj tak łatwo dopomagają wszelkie sprawozdania dziennikarskie; ale zdaje nam się że niekoniecznie rozgłos tego rodzaju przystoi teraz rodaczkom naszym. Smutna to sława, że jedna albo druga włoży na siebie za kilkadziesiąt tysięcy brylantów, może nawet pożyczanych albo fałszywych, bo wszakże teraz tak trudno prawdziwe od fałszywych odróżnić. Od serc przeszło do kamieni, ani podobieństwo dowiedzieć się gdzie fałsz, a gdzie prawda.

Nie mylmy się co do opinii jaką obcy, a mianowicie Francuzi, tworzą sobie o nas. Przysłowie mówi: jak cię widzą, tak cię piszą, a oni niestety niekoniecznie nas zawsze dobrze widzą. Francuzi lubią zbytki, stroje, zabawy, bale, i dobrze im z tem; naród to bogaty, szczęśliwy; w tradycyi, we krwi leży u niego zamiłowanie do wszystkiego co świetne, błyszczące, uderzające wyobraźnię i zmysły. Lecz Francuzi lubią to wszystko widzieć w sobie i u siebie, a niebardzo są zadowoleni, jeżeli kto ich przyćmić pragnie. Zamozne i nawet niezamozne rodziny tutejsze, przybywające do Paryża, wyprzedzają się w staraniu dania przesadzonego wyobrażenia Paryżanom o swoim bogactwie. Nic dla nich nie jest zakosztownym, nie nieprzystępnym. Współzawodniczą z lordami angielskimi, bankierami amerykańskimi i nababami indyjskimi, i starają się żeby wraz z nimi położono ich na liście tych *etranżerów*, o których zbytkach i oryginalności miasto chwilowo mówi a dzienniki piszą. Ale moda *etranżerów* przeszła już, może bezpowrotnie; nudzą oni i drażnią Paryżanów, a zysk z nich nie wynagradza tych nudów. I dzienniki nawet zła-

pały się, chwając jedną albo drugiego, i żałują słów swoich próżno zmarnowanych; i salony niekontente są, że nieraz zbyt łatwo roztwierały swe podwoje lada przybranemu tytułowi, a czasem nazwisku. Wkradło się we wszystkich niedowierzanie: tyle tam widziano fałszu, że teraz o prawdzie zaczynają wątpić.

A przytém, chociażby nawet położenie majątkowe i towarzyskie nadawało któremu z rodaków naszych prawo do błyszczenia na pierwszym planie w królowej stolic europejskich, to czyliż tu na miejscu nie znajdują się dla niego ważniejsze i pożyteczniejsze obowiązki, aniżeli skupowanie krzewów egzotycznych do ozdoby ogrodów zimowych i rzeźbienie albo złocenie sufitów w jakim najętym hotelu, przy której z głównych ulic Paryża? Jeżeli taką tylko zasługą owi przedstawiciele nasi myślą tam dobijać się pierwszeństwa, to nie było i po co jechać.

Skarżymy się na brak kapitałów, na ograniczenie środków potrzebnych do wzmoczenia pomyślności krajowej, a wszelkimi sposobami chcemy wmówić w cudzoziemców, że mamy tego wszystkiego za wiele, i że tylko brak dobrej woli z naszej strony nie dozwala nam stanąć na równi pod każdym względem z otaczającymi nas narodowościami. Gdzież tu konsekwencja, gdzież nawet prosty rozsądek i takt w postępowaniu, tak potrzebny nietylko narodowi, ale i pojedynczym indywidualom?

Przepraszam was czytelnicy za to kazanie. Jeżeli czytujecie z jakąkolwiek uwagą moją kronikę, to wiecie dobrze iż nie zwykłem przybierać w niej tonu mentorskiego tak niewłaściwego dla drobniuchnych moich zasług sprawozdawczych; ale tak smutne na mnie wrażenie uczyniły owe ironiczne pochwały feljetonistów francuzkich, u nas nawet powtórzone, że nie mogłem się oprzeć chęci wypowiedzenia niemiłych i gorzkich myśli, jakie leżały mi na sercu. Jedno tylko zdanie znajdujemy na usprawiedliwienie tego wszystkiego, zdanie poczerpnięte z pisma świętego, które dla nas winno być zawsze najwyższą i najżywniejszą nauką, a które mówi: „Wybaczcie im, albowiem nie wiedzą co czynią“.

W ubiegłym tygodniu mieliśmy kilka koncertów; z tych dany w poniedziałek wieczór w lokalu nowej reursy, odznaczał się tak doborem kompozycji jak i wykonaniem tychże. Tem bardziej zasługuje on na uwagę, że nie był to koncert płatny, ale dokonało go prywatne grono artystów, które już niejednokrotnie w tychże samych miejscach uprzyjemniało chwile dobranemu kółku znajomych pomiędzy sobą osób. Kończymy na tej wzmiance, nie wdając się w szczegóły i sąd ścisły, które z prawa należą do innej rubryki Tygodnika.

Ostatni odczyt pana Aleksandrowicza zamknął już dotychczasowy szereg odczytów w reursie kupieckiej, i jak się zdaje dopiero chłodniejszą wrócimy do nich porą, teraz zaś tak profesorowie, jak i publiczność chętnie ich słuchająca, uczynili sobie ferye. Sądzimy że przy nowym rozpoczęciu odczytów powiększy się ich liczba i zakres, bo będzie czas na zgromadzenie potrzebnych materiałów i zrobienie dostatecznych przygotowań.

Winniśmy oddać sprawiedliwość pięknemu wydaniu tańców narodowych z chromolitografowanymi okładkami, przedsięwziętemu przez zakład p. Dzwonkowskiego, znany dawniej pod firmą Pecqa et comp. Rysunek do okładki pierwszej seryi, wyobrażający we-sele chłopskie w całym swoim przebiegu, wykonał ze zwykłą sobie werwą i ożywieniem pan Pilati. Wydania ilustrowane coraz bardziej mnożą się u nas. Zakład pana Dzwonkowskiego rozpoczął znowu wydawnictwo nowej seryi portretów królów polskich, podług pierwotnych rysunków pana Lessera, w zmniejszonym formacie i ze skróconym tekstem. Samo z siebie się rozumie, że i cena bez porównania niższa niżeli ta, która na pierwotną seryą naznaczoną została.

Do odnowionego i odświeżonego Ojcowa gotuje się na zielone świątki wielka wycieczka, tak z Warszawy jak i z tamtejszych okolic. Ma to być, jak słyszeliśmy, pierwsze otwarcie tego spaceru, na które urządza się bal, podobno loterya fantowa, a nawet, jak nam piszą, teatr pana Pfeiffra ma tam za kilka dni zjechać i dać parę przedstawień. Podobno udaje się tam także pomiędzy innymi pan Beyer, który ma zamiar zdjąć fotografie z najpiękniejszych tamecznych widoków. Być bardzo może iż materiały te wyjdą na korzyść i naszemu Tygodnikowi.

Pan Rychter powrócił już z Krakowa, gdzie, jak to uprzednio donosiliśmy, występował kilka razy na scenie. Komedya premiowana J. Korzeniowskiego *Majątek albo Imię* ma być wkrótce wzięta do nauki i zapewne pierwsze jej przedstawienie wypadnie w czerwcu, podczas walnego tutaj zjazdu obywatelstwa wiejskiego. Jedyna to może pora z całego lata, mogąca się prawdziwie upożytecznie dla teatru, chociaż nie wątpimy że i bez tego przedstawienie nowej komedyi Korzeniowskiego zawszeby liczną zwabiło publiczność.

Wartoby wspomnieć parę słów o modach, które, zwłaszcza męzkie, angielszczeją u nas. Workowaty strój sukien uzyskał już zupełne prawo obywatelstwa; wygoda przedewszystkiem! oto hasło tegoczesnych wykwintnisiów. Już i tak drogie ubiory, a coraz droższych jeszcze wyszukują materiałów. Modne kapelusze panama, i u nas, jak wiadomo, bardzo upowszechnione, do bajecznych nieraz cen dochodzą. Znajdują się tacy co płacą za nie czasem po paręset złotych. To mi przypomina, że do jednego z kupców przybył raz szlachcic, żądając kapelusza panama. Pokazano mu jeden i drugi, ale nie wydawały mu się dość cienkie. Nareszcie kupiec pokazuje mu kapelusz za 50 rubli i zapytany o cenę objawia ją. Szlachcic kiwnął głową, nie na to nie odpowiedział, ale zaczął kapelusz pilnie oglądać. Nareszcie rzekł:

— A gdzież są dwie dziury?

— Jakie dwie dziury? pyta kupiec, niespokojny już że fabrykant w takim drogim kapeluszu zapomniał jednak czegoś.

— A naturalnie, powinny przecie być dziury, przez które przechodzić będą uszy osła, co taki drogi kapelusz sobie kupi.

KRAKOWSKIE WSPOMINKI.

Mało jest miast w dawniej Polsce, któreby w łonie swoim pielegnowały tyle zabytków przeszłości, ile stary Kraków; sprawiedliwie też nazwano go polską Romą. Najstarsze, najliczniejsze i najokazalsze w nim świątynie, i za każdym krokiem wędrowiec napotyka pamiątki ubiegłych wieków. Sędziwy gród, cudną otoczony okolicą, tak uroczy przedstawia widok, że nietylko ten co go pierwszy raz ogląda, ale nawet sam mieszkaniec Krakowa wzroku od niego oderwać nie może. „Najśmielszy pędzel zachwieje się w dłoni mistrza, pióro wypadnie z rąk poety... gdy wnijdzie na szczyt mogiły, w zamiarze odszkodowania widzianych z tamtąd czarownych obrazów.“

Jakież bo śliczne widać ztąd okolice! Tu Łobzów bieleje pośród szmaragdowych ogrodów, uprawianych pracowitą ręką potomków Brozdy lub Zbroi, kędy przed pięćmi wiekami zasiadał pod drzewem wielki król chłopków, słuchając żalów kmiotka, jakie przed nim rozwodził i wymierzając mu sprawiedliwość. Tam Balice, rokoszna siedziba Balickich Toporczyków, Bonarów i Firlejów. Ztąd to dwie Austryaczki, żony dwóch naszych Zygmunatów, wjazd swój do Krakowa odprawiały (1). Bliżej tuli się do podnóża góry, kryjącej w swém łonie uroczę Panieńskie skały, piękny pałac Woli Justowskiej, zbudowany z rozkazu Justa Decyusza, sekretarza Zygmunta I, przez włoskich architektów. Puszczając wzrok w tym kierunku, widać na błękitnym tle horyzontu zagłębienie ojcowskiej doliny i szczyt góry Chełm naprzeciwko zamku stojącej. W jej wnętrzościach znajdują się pieczary, w których Władysław Łokietek, tułacz, szukał schronienia przed zajądłością najezdniczego Czecha.

Od strony wschodniej wznosi się w oddaleniu opactwo cystersów w Mogile, hojnością Iwona Odrowąza biskupa krakowskiego wzniesione, z kądem dumny Maksymilian napróżno wzywał dumniejszy jeszcze Kraków do poddania. Na prawo wśród ciemnego lasu, ze szczytu Sróbrnej góry (2) strzelają wieże cichiej kamedułów pustelni. Ztąd Jan Kaźmirz, uchodząc przed Szwedem, ze łzami patrzył na gorejący Kraków. U stóp góry wije się kręta Wisła, spiesząc objąć wstęgą swą

(1) Katarzyna żona Zygmunta Augusta i Anna żona Zygmunta III.

(2) Góra nosi nazwę Sróbrnej (mons argenteus), bo za nią Mikołaj Wolski, marszałek w. koronny, dał swój serwis srebrny. On to zbudował kościół i klasztor kamedułów, zwany Bielaniem.

ukochane miasto. Za nią podnosi się strome pasmo wzgórz skalistych, niegdyś Lasotnią, dziś Krzemionkami zwanych. W pośrodku tych gór jest zagłębienie, noszące imię katedry Twardowskiego. Tam to ów mistrz, jak lud głosi, przez lat siedm dręczył szatana i różne z nim wyprawiał dziwy. Na wschodnim krańcu wzgórza zasiała mogiła Krakusa. Rzućmy okiem na zachód: widok tu całkiem odmienny. Góry nie spływają w uroczę doliny, ale piętrzą się coraz wyżej ku Tatrom. W środek Wisły skalisty wdiera się przylądek, a na nim stoi opactwo benedyktynów, ręką Chrobrego zbudowane. Tyniec to sławny, dziś zwolna rozsypujący się w gruzy, z kąd garstka konfederatów ubiegła zamek krakowski; za nim u stóp Karpat sterczą na wysokości górze groźne zwaliska zamku Lanckorony, co go Kaźmirz Wielki zbudował, a Maurycy Beniowski zdobył. Wiek jeszcze nie upłynął, a silne mury w grobowe rozsypały się ruiny. Naprzeciw niego wznosi się Kalwarya Zebrzydowska, kędy corocznie krocie pielgrzymów ze wszystkich krain słowiańskich ciągną rozpamiętywać mękę odkupiciela świata. Wyżej jeszcze olbrzymia Babia góra, a jeszcze wyżej na krańcu widokregu bieją wiecznym śniegiem ostre wirchy Tatrów.

Taki to wspaniały widok roztacza się przed zdumionym okiem zachwyconego widza, z wierzchołka wzgórza ręką ludzką usypanego. Patrz w dal wędrowcze, napawaj się cudownym obszarem, którego granic zaledwie oko dosięgnąć zdoła, lecz nie spuszcza wzroku pod twe stopy, bo twoją rozkosz boleść zamąci. Nie ujrzyś już ani zielonej murawy, co niegdyś mogiłę bohatera dokoła otaczała, ani wysmukłych topoli, ani gaju świętego, gdzie córa Odrowążów, opuściwszy ustronie zwierzynieckiego klasztoru, z aniołami pańskimi prowadziła rozmowy. Mury forteczne, palisady i rowy zaległy ich miejsce, poszarpana góra nagą piersią sterczy, a huk pękających min, rozdzierających skały, oddawna ztąd wystraszył wdzięczne słowiki. Mieszkaniec Krakowa nie może dziś poznać miejsca, gdzie wiosną młodości przeigrał: wszystko uległo zniszczeniu!

Odwróćmy się od tego smutnego widoku, a rzucmy okiem na stary gród Krakusowy. Ileż tu uczuć przenika umysł, gubiący się wśród mnóstwa świątyń i gmachów rozrzuconych dokoła! Nad brzegiem Wisły stoi Wawel, kryjąc w wnętrzościach smoczą jamę, a na jego skalistych barkach wspiera się sędziwy zamek królewski. Dumnie, jak przed wiekami, wznosi siedm wieżyc ku niebu i świeci złocistym dachem zygmuntofskiej kaplicy. Ztąd tylko widzisz katedrę, której mury oglądały chrzest Jagiełły, a grobowce kryją prochy potężnych władców. Zdała widać ogromne Sukiennice, które w dnie powszednie za bazar handlu, a w dnie uroczyste za salę balową służyły, i rynek, na którym zagraniczni książęta hołdy królom składali. Myśl ucieka w daleką przeszłość, duszę rozkołysaną owładnęły marzenia, balsamiczne powietrze poi zachwycione zmysły. Obecność ucieka przed zamierzczłymi wspomnieniami, cisza dokoła... Wtém zdała od Wawelu wietrzyk niesie jakieś harmonijne dźwięki, piękne jak hymny Jeremiasza, słodkie jak lutnia Orfeja, wzniosłe jak pienia Serafinów. Jakiż to głos przecudny? czy niebo otwarło swe bramy i chórem anielskim napawa ucho śmiertelnych? O nie... to stary Zygmunt śpiewa pieśń nad pieśniami, niezrozumiałą dla wielu, a dostępną tym tylko, którzy go ukochali wraz z jego wielką przeszłością. Kto śpiew Zygmunta raz w życiu usłyszysz, temu i w ostatniej godzinie życia nie wyjdzie z pamięci.

Jeżeli dziś Kraków wspaniale wygląda, jakimże być uusiał w epoce swojej świetności, kiedy nieprzyjazna ręka nie rozwalila jeszcze świątyń i baszt wieńczących koronę murów miejskich, kiedy jeszcze stał ów ratusz wspaniały, wybudowany w XIV wieku, a rywalizujący strukturą ze swemi braćmi w innych stolicach Europy?

Wiele zburzono, wiele zmieniło się do niepoznania, ale tradycja żyje, a lud ją objawia dorocznymi uroczystościami. Wybiega z hałaśliwą *Rękawką* na szczyt Krzemionek; pali *Sobótki* w Zielone święta na okolicznych górach; harcuje wesoło z *Konikiem Zwierzynieckim* po rynku krakowskim, w oktawę Bożego ciała; śpiewa pobożne pieśni u drzwi świątyni Maryi Dziewicy, zbudowanej ręką Iwoną Odrowąża; odwiedza Bielany, Mogiłę, Tyniec, Kalwaryę Zebrzydowską i Częstochowę, i modli się tak szczerze, jak się ojcowie nasi modlili przed wiekami. Ani przebieg lat,

ani najrozmaitsze koleje przez jakie Kraków przechodził, ani wszechwładna moda, obalająca dziś wystawionych wczoraj bogów, wyszydająca bez litości najdroższą pamiątkę, jeżeli ta nie przypada do jęj zmiennych upodobań, niezdolają jęj zatrzeć.

Opisy tych zwyczajów starokrakowskich, nie wszędzie w kraju naszym znanych, postanowiliśmy podawać kolejno w naszym piśmie, spodziewając się uczytnić tęp czytelnikom rzetelną przysługę.

I. RĘKAWKA.

Trzy mogiły śliczne sterczą ponad Wisłą dokoła Krakowa; przedjęj on w gruzach legnie, aniżeli potęga czasu zrówna z ziemią te niebotyczne pomniki. Wszystkie trzy należałoby zwidzięć; tymczasem pójdz ze mną czytelniku, zaprowadzję cię na jednę z nich, na najstarszą.

Oto wiosna zaledwie pierwsze zaczęła stawiać kroki; wschodni wietrzyk ostrzega chłodnym podmuchem, że technienie mrozu może zabięć jęj najrańsze dziatki, pierwiosniki.

Na pochyłościach Krzemionek, w rozpadlinach skał biela się jeszcze gdzieniegdzie śniegi; dno Twardowskiego katedry pokrywa jeszcze biały, poszarpany całun, święta wielkanocne kończą się. Trzecia doba upływa jak dzwony czterdziestu świątyń Krakowa ogłosiły doroczną pamiątkę zmartwychwstania Chrystusowego. Wesołe tłumy spieszą stromemi drożynami na szczyt góry, gdzie na krańcu bieją białe ściany kościołka św. Benedykta. O kilkaset kroków, na najwznioślejszem miejscu płaskowzgórza, sterczy wysoka mogiła. Kiedy powstała, kto ją usypał, w jakim celu? pytają ksiąg starych, one coś o tęp wiedzą. Ale jeżeli nie chcesz się trudzić i przerzucać zatęchłych kronik, zaczepl którego z tych dziarskich parobczaków, co wesoło pędzą na wierzchołek, którą z tych krasnych dziewic, co chichocząc się spieszą ku szczytowi; zagadnij starca, co tam o kiju z trudnością pnie się do góry, albo sędziwego żebraka z mlęczną brodą, co pod figurą święte wypiewuje hymny, lub tego dzielnego chłopka, co w śnieżystej sukmanie i płonącej z pawiem piórkiem czapce dąży ku kościołkowi. Oni ci powiedzą, jako przed laty w pieczarach Wawelu żył smok ogromny, który dokoła spustoszenia szerzył, a najdorodniejszą dziatwę krakowską pożerał; oni ci powiedzą, jako naonczas Krakus, król czy książę tutejszej ziemi, bolał nad nędzą uciśnionego ludu, a idąc za radą *Skuby*, mądrego szewca, podrzucił smokowi barana napełnionego zapaloną siarką i żywicą. Ryczał z wielkiego bólu straszliwy potwór i wypił połowę wody z Wisły, a żaru nie ugasił, aż nakoniec zdechł, rozciągnąwszy cielsko u podnóża góry. Wtedy to lud, oswobodzony od długoletniego ucisku, umiłowal sercem i duszą swego wybawcę, a kiedy umarł, żal był srogi po całym Podgórzu, i usypano mu mogiłę na 30 łokci wysoką, sypało ją czas niemały, boć tam nie taczki ani wozy przewoziły ziemię, ale zarówno młody i stary, biedny i bogaty, mąż i niewiasta nosili ją w swych rękach, a kto miał szerokie rękawy, w *rękawach*. I nazwano ją ku pamięci potomków *Rękawką*, ażeby wiedzieli ile pracy kosztowała i jak ją sypało. Po ukończeniu mogiły Krakusa, „starsi i zamożniejsi narodu hojnie uczęstowali lud biedny pochyłość góry zalegającej. Kto był bliżję brał w ręce, dalej stojącym rzucano przez głowy, aby każdy był nasycony, a pamiętał że tu spoczywa wódz i książę, który naród w zły uratował chwili.“

Od tego to czasu spieszą co rok Krakowianie oddawać hołd miejscu, gdzie ich dziadowie żal swój zagrzebali. Nie kilka to gromadek ani kilkadziesiąt, ale niezliczone tłumy ciągną na wierzchołek Krzemionek, obchodzić lubą pamiątkę, od dziecinnych lat ukochaną.

Wesoły gwar rozlega się na płaszczynie.

Dokoła kościołka szerokim taborem zaległy przekupki; na białych płachtach rozłożyły rozmaite łakocie od pospólstwa ulubione. Piętrzą się piramidy orzechów, jabłek, obwarzanków i pierników. Włóścianie z Liszek i Golkowie zasiedli z swemi słynnymi kukiełkami; ciastka, kołaczki, cukierki, figi i daktyle misternie rozłożone na straganach, wabią ku sobie dziatki. Z innej strony rozłożono zabawki drewniane prostję roboty, jaskrawo ubarwione: więc wózki, łódeczka, szafki, stoliczki, i białe siekierki z czerwona lub niebieską kratką, i gliniane dzwoneczki, i żółte piszczałki, niemniej pociągają ku sobie młodziuchne

pokolenie. Scylla to i Charybda dla dziatwy. Alerzecz dziwna, że nie same dzieci korzystają z tych bogactw obficie nagromadzonych: dorosli najwięcej kupują. Dziwi się rękawiczka paliowa, że jęj każą dźwigać ogromną kukiełkę; zżyma się cieniuchna chusteczka koronkowa, że w nią sypią jabłka i pierniki. Na kosztownej laseczce niesie paniczek kilkanaście nanizanych obwarzanków. Wszystkie klasy społeczeństwa zwirowane, zmieszane w jeden ogromny tłum; każdy na wycigi kupuje, każdy tłoczy się na krawędz góry, nie tknąwszy zakupionych łakoci. Jaki ścisk, jaka wrzawa! Jakiegoż wysilenia potrzeba, ażeby przebięć się przez te żyjące fale i dostać do brzegu!

Nakoniec stajemy. Niezwykły widok przedstawia się oczom zdumionego wędrowca, nieznającego zwyczajów krakowskich i obchodu Rękawki. Cała pochyłość wzgórza zasypana tysiącami chłopców. Niżję stoją doroslejsi, u stóp góry starcy i kaleki. Z wierzchołka, jak z rogu Amaltei, sypie się dęszcz zakupionych łakoci. Jak z groźnej baterji wylatują nieustanne pociski: kartaczami lecą orzechy i jabłka; zręczną ręką wyrzucone obwarzanki, ogromne jak bomby zakreślają łuki; kiedy niekiedy bochen chleba, placek lub babka, rikoszując z jękiem skacze po stromem wzgórzu, a grożąc nieostrożnym, wymykając się mniej zręcznym, albo staje się łupem zgrabnego łowca, albo dosięgłszy spodu, dostaje się biędakom tam zgromadzonym. Wesołe okrzyki i próżby, przeplatane dowcipnem słówkiem, wrodzonem ulicznikom krakowskim, głuszą niemal gwar panujący na górze. Niekiedy pomarańcza lub inny wytworkniejszy przysmak, *rara avis* na polu tutejszem, zacięta sprowadza walkę. Jeżeli doroslejszy pochwyty zdobywca, roje malców usiluje mu ją wydrzcić, a przysłowie *nec Hercules contra plures*, literalnie się tu sprawdza. Stojący bliżję proszą okrzykiem: „dołem panoczku!“ żeby im rzucić; stojący dalej wołają „góra! góra!“ bo tym sposobem przedjęć coś uchwyca. Zręcznemu zapaśnikowi towarzyszą huczne brawa, niezgrabnemu śmiechy; słowem swoboda tu panuje zupełna. Każdy otwarcie oddaje się powszechnję wesołości; nie masz przymusu, nie słyhać sarkastycznych uwag, ani francuzkiego żargonu.

Słońce schyla się ku zachodowi, zgromadzenie tonieje, ogień baterji słabnie, gwar cichnie: Krakowianie powracają do domów. Słyhać tylko po drodze wołania żebraków i śmiechy wesołych chłopców, którzy podskakując zajądają obfite łupy. Dawniej, kiedy żył Artur hr. Potocki, (*) ten Krakowiak duszą i ciałem, obfitsze jeszcze na Rękawce zbierano żniwa. Zakupywał on całe zapasy od przekupek i koszami kazał sypać pomiędzy pospólstwo. To tęp pamięć jego po dziś dzień żyje, a starzy inwalidzi Rękawki opowiadają o nim dzieciom swoim różne anegdotki, kończąc zdaniem: że był bogaty i hojny jak sam Krakus.

Jeżeli wierzyć można rozpowiadaniom starych i żywej tradycji ludu, dwanaście wieków trwa już obchód Rękawki. Być może iż niegdyś świetniej się odbywała, ale nie serdeczniej. Dwanaście wieków Krzemionki oglądają corocznie wesołych gości, a starosłowiańska gościnność nie wyczerpała się dotąd i jednakowo się utrzymuje. Jak dawniej „starsi i zamożniejsi narodu hojnie częstują lud biedny, pochyłość góry zalegający. Kto jest bliżję bierze w ręce, dalej stojącym rzucają przez głowy, aby każdy był nasycony, a pamiętał, że tu spoczywa wódz i książę, który naród w zły uratował chwili.“

O spraw to Boże, ażeby ten serdeczny obchód mógł jeszcze przetrwać drugie dwanaście wieków, a nasi wnukowie tak go pilnie strzegli i dochowali swoim wnukom, jak go nam dziadowie przekazali!

Aleksander Orłowski.

Urodził się w Warszawie 1777 r. z ubogiej rodziny. Śród różnych zmian losu, ojciec jego, nie znajdując dla siebie środków do życia w stolicy, przeniósł się do Siedlec, majątności hetmanowej Ogińskiej,

(*) Artur hr. Potocki i jego cnotliwa małżonka Zofia z hr. Branickich, na długo pozostaną w pamięci Krakowian. Jeżeli zawczesna śmierć jego smutkiem napelniła serca biednych, to czcigodna hr. Arturowa, matka nieszczęśliwych, podwojonemi dobrodziejstwami usiłowała straszyć im wynagrodzić. Hojną tęp za to znalazła zapłatę, bo cały lud modli się za nią i z uwielbieniem imię jęj wspomina.

i tam wziął w dzierżawę dom zajezdny. Zmiana ta dla młodego Aleksandra była wielce pożądaną, bo będąc z natury żywego temperamentu, mógł pośród przychylając się do prośby swjej małżonki, zajął się szczerze przybranym wychowawcem i umieścić go na naukę u Norblina, bawiącego wtedy w Warszawie. starał się go od tego odprowadzić, porzucił cichą pracownię artysty, rzucając się w odmęt gwałtownych wrażeń, tak zawsze żywo na niego działających.



OBCHÓD REKAWKI W KRAKOWIE.
Rysował Pillati, rytował Hähle w drzeworytni Tygodnika.

gwaru i ruchu przejeżdżających zaspokoić swoją niecierpliwą ciekawość i wnieść się w każdą sprawę, jaka się tylko wydarzyła na przyległej drodze.

Rodzice, zajęci gospodarstwem, mało zwracali uwagi na chłopca, który idąc za namyślnym usposobieniem do luźnego wałęsania się, bujał sobie po drodze, coraz to nowe zawierając znajomości. Kiedy zaś przyszła słońca i nie mógł się oddawać ruchliwemu zajęciu, jakiego wrażliwa i gorąca wyobraźnia jego wymagała, zakradał się do pokojów gościnnych, wyciągał węgle z pieca i kręślił po ścianach rozmaite figury i konie, które nade wszystko lubił, zabijając tym sposobem nudę w czasie mniejszego ruchu przejeżdżających.

Przy tém zajęciu, niespokojny wybiegał nieraz z pokoju, z obawy aby go ktoś z domowników nie zdybał na gorącym uczynku, który w oczach rodziców byłby zapewne poczytany za zbrodnię prowadzącą za sobą ruinę ich mienia. Ale postacie chłopów w czapach baranich, Żydów brodatych, marsowatych żołnierzy, konie, wozy i różne niedokończone dziwolagi, zostawały na ścianach jak zaklęte duchy, chociaż uciekający od nich chłopiec wyobrażał sobie, że znikły tak szybko, jak się przesunęły w jego myśli. Zdarzyło się, że w tym właśnie czasie, kiedy rysunki pokrywały ściany gościnnych pokojów, księstwo Czartoryscy wybrali się w odwiziny do Siedlec i przed udaniem się do pałacu wstąpili do oberży. Jakież było zadziwienie księżny, gdy na raz jeden widziała się otoczoną gośćmi, których zaledwie mimochodem spotykała w życiu! Zastanawiając się nad prawdą i charakterem jaki z tych grubych zarysów przeglądał, mocno się zaciekawiła nieznanym ich twórcą i zażądała go widzieć. Sprowadzono zaleknionego winowajcę i przedstawiono księżnie, która tak się zajęła rubasznym chłopcem, że uprosiła męża, aby go wsparł opieką swoją. Księżę Czartoryski,

Po krótkim pobyciu u tego znakomitego malarza, r. 1794, pobudzony wypadkami ówczesnymi, zapra-

Niedługo jednak trwała ta gwałtowna chęć wojaczki. Raniony pod Zegrzem, opuścił szeregi w Łomży, i dostawszy się pod Warszawę, stanął w karczmie blisko wolskich rogatek położonej, i tam, zapominając o niepewnym jutrze, zabawił się w podobny sposób, jak niegdyś w domu rodzicielskim. Dowiedziawszy się o tém Norblin, pospieszył do niego i prośbą skłonił go do powrotu w skromny przybytek pracy, który niedawno był porzucił.

Na pamiątkę naszkicował Orłowski scenę odszukania swego przez Norblina, z wielką swobodą i dowcipem; rysunek ten, bardzo ciekawy, posiada obecnie w pięknym swym zbiorze obrazów znany miłośnik sztuki, p. Józef Koitkowski w Warszawie.

Po powrocie do mistrza swego, Orłowski dość długo pracował; to też niepospolitej nabył łatwości w rysunku, i odtąd wzrastać zaczęła jego artystyczna sława.

Rzecz dziwna jednak, niespokojny charakter Orłowskiego nie dozwalał mu nigdy w niczem wytrwać; opanowała go raz jeszcze burzliwa potega: znikł nagle z pracowni Norblina i połączył się z bawiącym podówczas w Warszawie towarzystwem hecarzy czy akrobatów, pod dyktando Chiariniego. Szczęściem niedługo zajmowało go to hecarskie życie; naśmiawszy się do woli z niego i z własnego dziwactwa, powrócił do pracowni i tam wykonał akwarellą samego siebie na koniu, z bębniem, ogłaszającego hecę po mieście. Wyborną tę akwarellę posiada dziś p. Edward Rastawiecki.

Księżę Poniatowski, polubiwszy Orłowskiego z powodu jego niepospolitego dowcipu i niewyczerpanej wesołości, przeznaczył mu dukata dziennie na potrzeby i wierzchowego konia do dyspozycji, zapraszając na stałego gościa wieczorów pod Blachą, na których zabawił licznych gości rysowaniem humorystycznym figur powszechnie znanych



ALEKSANDER ORŁOWSKI.
Rysował A. Piwarski z oryginału Orłowskiego, ryt. G. Röber w drzeworytni Tyg.

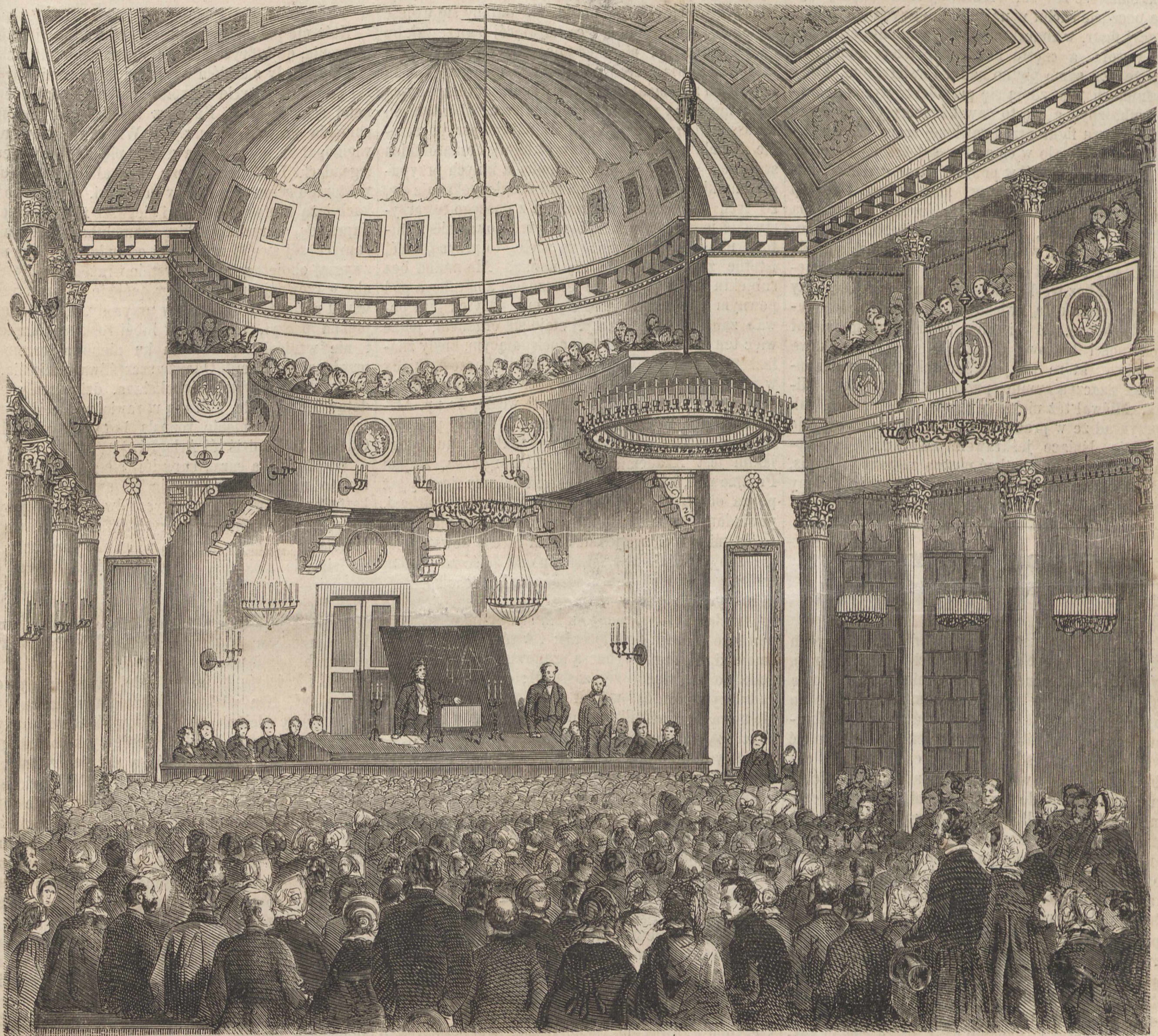
gnął gwaru wojennego, aby się w nim na własne oczy przypatrzeć tym ludziom, których dotąd znał tylko z daleka. Pomimo więc usiłowań Norblina, który

w mieście osób. Niektóre z tych rysunków znajdują się dotąd w gabinecie księcia Józefa w Jabłonny. Z tej epoki widzieliśmy rysunek piórowy, zręcznie akwarellą malowany, przedstawiający spotkanie trzech oryginalnych indywiduali: Gugenmusa, Tremo i Gillamoni, będący własnością p. K. Regulskiego. Wiele też robót Orłowskiego, mianowicie scen ludowych i wojskowych, głów, karykatur a nawet widoków, znajduje się u różnych amatorów w Warszawie.

Niektórzy biografowie Orłowskiego twierdzą, że bawił jakiś czas na Litwie, inni że odbywał podróż do Niemiec, Francji i Włoch, co jednak nie miało miejsca; wiadomo tylko, że nie znajdując w Warszawie odpowiednich pracy swjej korzyści, powziął zamiar udania się do Petersburga i podróż tę odbył

zadośćuczynić. Mnóstwo też wykonał robót olejno, gwaszem, akwarellą, tuszem, sepią, piórem, krédą i ołówkiem. Ulubionymi przedmiotami jego kompozycji były epizody historyczne, bitwy, przedmioty rodzajowe; prócz tego rysował także portrety i pojedyncze charakterystyczne postacie wojskowych, kozaków, baszkierów, ludzi z gminu, rycerzy, rozbójników, kontuszowych Polaków, karykatury, konie, wszystkiemu nadając wyraz surowy lub wesoły, a zawsze oryginalny. Szczególnie jednak sceny wojenne przedstawiał z wielkim ogniem, a konie w najrozmaitszych postawach, z niezmierną prawdą i malowniczością ruchów. Pracował Orłowski w biurze topograficznem sztabu głównego cesarskiego; następnie mianowany był członkiem akademii sztuk pięknych

Daremniebyśmy szukali w pracach Orłowskiego pewnej szkoły lub artystycznej zasady: nie marzył on nawet o tém. To też utwory jego, jakkolwiek nacechowane niezmierną oryginalnością i werwą wykonania, są po większej części luźne, bez wybitnej myśli i dążności; albowiem artysta rzadko się wznosił do kompozycji, i większa część energicznych, pełnych prawdy typów, mogąca w wspólnem zestawieniu uderzyć dramatycznością lub wyższym komizmem, pozostała tylko jaskrawym odbłyskiem pojedynczego życia. Orłowski zaledwie kilka obrazów olejnych namalował, bo te, wymagając ściślejszej nauki, szlachetnej powagi, poprawności rysunku i piękności kolorytu, niezgodne były z jego burzliwem i gwałtownem usposobieniem; zbyt wielka w nim dysharmonia władz



ODCZYTY W SALACH RESURSY KUPIECKIEJ W WARSZAWIE.

Rysowali z natury Ceglinski i Pilati, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

1802 r. na Gdańsk, z Flettim, Włochem prowadzącym handel rycinami. Po przybyciu do Petersburga, uczęszczał na akademię, gdzie okazawszy wysokie artystyczne zdolności, zaszczycony został znajomością wielu znakomitych osób; oprócz podróży jednak do Moskwy i Niżnego Nowogrodu z p. Naryszkinem, nigdzie się ztamtąd nie wydalili.

Zalecony przez Stanisława Potockiego wielkiemu księciu Konstantemu, wkrótce potrafił pozyskać sobie jego względy, tak iż go swym nadwornym rysownikiem mianował i przeznaczył mu dożywotnie mieszkanie w marmurowym pałacu, w którym też do śmierci pozostawał. Wziętość Orłowskiego z każdym dniem wzrastała, poszukiwano i przepłacano prace jego, a rozlicznym zamówieniom, nawet przy niesłychanej biegłości i pracowitości, zaledwie mógł

w Petersburgu. Umarł w témże mieście dnia 13 marca 1832 roku.

Że usposobienie człowieka i charakter jego odbijają się zwykle w pracach umysłowych, dzieła Orłowskiego najoczywistszym są dowodem. Śmiało rzec można, że artysta rzadko znajdzie w życiu i otaczających go obyczajach tak przyjazny grunt dla swego przyrodzonego usposobienia, jak go znalazł Orłowski. Był to człowiek niosący na sobie wybitne piętno epoki w której żył i dla której, rzecby można, urodził się. Niczem nie zmałona wesołość, wrażliwość, pochop do działania awanturczy, bezcelowy, życie ruchliwe, barwne, zdolności wielkie bez wydatnego kierunku, nieznające żadnej rozumowej tamy, słowem życie dla chwili bieżącej, oto są główne cechy tego znakomitego rysowniczego talentu.

umysłowych nie dawała przystępu surowemu namiętności, tak niezbędnemu w tym rodzaju malarstwa.

Nieliczne olejne jego prace po większej części zakupione zostały do Anglii, gdzie bardzo były poszukiwanymi. Petersburgska akademja sztuk w swojej galerji posiada jego obraz olejny, przedstawiający przechód taboru Kozaków przez okolicę leśną. Piękne to dzieło zjednało mu tytuł członka honorowego tejże akademii.

Litografie jego są po części z rodzaju komiczno-gminnego, lecz tych niewiele wykonał. Najpiękniejsze prace Orłowskiego weszły do zbiorów petersburskich; wiele z nich jednak znajduje się i w Warszawie, jak: w zbiorze hr. Augusta Potockiego, u księżny Aleksandry z Steckich Radziwiłłowej, u pana

J. Wendorfa, u barona Rastawieckiego i wielu innych lubowników i znawców.

Do najpiękniejszych rysunków Orłowskiego zaliczają: „Matkę broniącą dziecko przeciw orłowi alpejskiemu“; dalej „Weterana walczącego z wilkiem, który rzucił się na jego syna“, — obydwie litografowane przez Hurlimanna. Niemniej interesujące i charakterystyczne są „Pociągi furmańskie rossyjskie na wozach i saniach“, arkuszy 4, szytowane przez Korneliusza Suhr. Ciekawym jest także zbiór rysunków, przedstawiający zwyczaje i ubiory, który gen. Caulincourt, będąc ambasadorem Napoleona I w Petersburgu, zamówił u Orłowskiego i zapewne wywiózł do Paryża.

Wybitną cechą artyzmu Orłowskiego jest niesłychana śmiałość zarysu, efektowny rzut światła, wysokie poczucie ruchu w najsubtelniejszych odcieniach sytuacji figur, w charakterach fizyognomij pewna bućność wesoła, a często komiczna. Rzecz nader dziwna, że toż samo piętno nadał i zwierzętom, które w rysunkach jego zdają się przybierać wyraz namiętny, rubaszny, a często nawet komiczny, stosownie do charakteru figur przedstawionej sceny. Życie Orłowskiego upływało w ciągłej wesołości, bo wszędzie był lubiony; łatwość w pożyciu i towarzyskość, humor jednostajny, swobodny, żartobliwość i dowcip w rozmowie, zapewniały mu pierwsze miejsce na ucztach i zabawach, które namiętnie lubił. Żelaznego był zdrowia i wytrwały w pracy; pochopny do biesiad, przechodził od jednych do drugich bez zmęczenia. Żył bez troski, niepomyślny na przyszłość, ufny w swoją przewodnią gwiazdę, która go też nie opuściła do końca. Z wielkim zamiłowaniem zbierał starożytności krajowe i różnego rodzaju ciekawe przedmioty, które po jego śmierci zakupionymi zostały za znaczną sumę przez wielkiego księcia Michała. Miał też niekiedy niewinne dziwactwa, jak na przykład że w pracowni ubierał się w różne stroje wschodnie, lśniące jaskrawymi kolorami. Na robotach jego rzadko spotkać można całkowity podpis, zwykle bowiem kładł tylko u spodu rok, przedzielony monogramem A O, w rozmaity sposób związanym.

ODCZYTY

W SALACH RESURSY KUPIECKIEJ

W WARSZAWIE.

Przedstawiając zamknięcie pierwszego peryodu odczytów popularnych, stanowiących ważny fenomen w życiu intelektualnym naszego miasta, z rokoszą i chlubą notując w piśmie naszym ten fakt, jeden z najpiękniejszych, jakie nas zalecić mogą współbraciom i obcym, chcielibyśmy przy pożegnaniu wyrazić słowo podziękowania wszystkim, którzy czémkolwiek, czy to inicjatywą, czy współdziałaniem, czy współczuciem przyłożyli się do jego spełnienia. Zapatrujemy się na ten fakt nie tylko jako na bezpośredni rezultat pewnych naukowych korzyści, co już samo przez się jest niezaprzeczenie dobrą, ale patrzymy nań jeszcze jako na miarę usposobienia publiczności naszej do poważnych a wielce nadobnych umysłowych zajęć: próba ta dała wypadek jak nie można lepszy, i to do najprzyjemniejszych policzyć można nad miastem naszym obserwacji. Słyszymy prawdę często, i jak dziś to już nawet bez wariantów powtarzając piosenczkę, że publiczność nasza nigdy nie omieszka, ilekroć kto w imię jakiejś dobrej idei do jej serca zapuka; jesteśmy najpierwsi w uznaniu ofiar, które cicho i bezinteresownie składają się przy ołtarzu dobra powszechnego; ale z drugiej strony, unikając przesady i fałszywych iluzji, nie jesteśmy tak skwapliwi w unoszeniu się nad byle jakim dobroczynnym kontredansem lub miłosierną kolacją, uświetnioną toastami, spełnionymi za zdrowie cierpiącej ludzkości. Byłoby to owszem bardzo rozpaczliwym symptomem, gdyby tą tylko drogą miały się spełniać akty miłości chrześcijańskiej. Komitet resursy kupieckiej, mając na celu zasilenie ubogich, zostawił na boku wszystkie Filomele i Terpsychory a zwrócił się o pomoc do surowszej muzy, sprzymierzył się z Uranią i jej pokrewnymi, że się tak wyrazimy makaronicznie. Z bijącym sercem, zaprawdę, można było oczekiwać rezultatu w rozmuzykalnionem i roztańcowanem mieście, a przykładowe fiasko nie miałyby nawet prawa ani obowiązku nikogo zadziwić. Tymczasem od pierwszych do ostatnich odczytów, pomimo szeregiem

idących po sobie rozmaitych publicznych rozrywek, tłumy pociągły obojętne ścigały do gmachu resursy, a wszystko to spieszyło niecierpliwie, żadne dogodniejszego miejsca; ławki z początku na pół godziny, potem na godzinę, nareszcie na dwie godziny przed rozpoczęciem lekcji zapełniały się słuchaczami, tak iż pomiędzy godziną piątą a siódmą ulica Senatorska i jej okolice przedstawiała coś podobnego do traktu, po którym lud spieszy na odpust, plac przedresursowy zastawiony pojazdami, a ogromna sala widocznie w obec gości chciała zaprzeczyć temu pewnikowi fizycznemu, że ciało obejmujące większe być musi od objętego.

Cóż to jednakże tak ścigało tylu słuchaczy, i to mniej więcej prawie zawsze tych samych, bo u nas wyborowej publiczności niema tak bardzo na zmianę. Nie prosta ciekawość, bo ta nie dałaby się uwieść kilkogodzinnym nudom i co najwięcej poprzestałaby na jednym razie; nie chęć pokazania się, bo stroje, które stanowią rzeczywistą wartość pewnych osób i pewnych zgromadzeń, tu grały zgoła nicnieznaczającą rolę; nie sama nareszcie chęć umieszczenia złotówki w kassie Dobroczynności, bo tak naiwne przypuszczenie do balów tylko, koncertów i widowisk amatorskich stosować się może, dla zasłonięcia innych przypuszczeń: kiedy więc ani jedno ani drugie, pokazuje się, że tych słuchaczy, wybranych z naszego towarzystwa, ścigał sam przedmiot; jeżeli powiedzieć: miłość nauki — byłoby może za wiele, to przynajmniej istotne zainteresowanie się nauką. Ale nauka bez subyektu nauczającego, to jeszcze jest abstrakcja pod pewnym przynajmniej względem: pożytek jej i powab zależy od tego, kto jej staje się organem; jakże więc ten wykład musiał być pociągającym, kiedy znalazł tylu, tak pilnych i wiernych słuchaczy, kiedy w miarę wykładu liczba ich wzrastała wraz z zadowoleniem. Temu nie dziwimy się wcale, że pp. Aleksandrowicz, Lesiński i Przysiański, którzy przemawiają z katedr najwyższego u nas zakładu naukowego jakim jest Akademia Medyko-Chirurgiczna, że pan Prażmowski, którego prace astronomiczne sięgają już po za obręb własnego kraju, że tacy czterej uczeni, powiadamy, zgodzili się na publiczne wystąpienie, bo to co mieli wyłożyć jest dla nich rzeczą powszednią; ale żeby właśnie z wysokości nauki zejść na poziom średniego usposobienia, ustrzedz się każdego specjalnego wyrażenia, nie odstręczyć nieprzystępnością, na to trzeba było wielkiego z ich strony taktu i nawet pewnego rodzaju poświęcenia; i w tym to już p. Prażmowski, niech mi wybaczą szanowni jego koledzy, — podobno najwięcej się zasłużył; oni zmienili tylko audytorium, on zaś wszedł w rzecz dla siebie zupełnie nową; oni pełnili powinność jako starzy żołnierze obcy z ogniem, on jako ochotnik nowozacigły, — a wiemy dobrze jaki to ogień, występować w obec tysięcy głów, uzbrojonych dwoma dobrymi oczami. Powszechny głos przyznawał, że w czterech lekcjach niepodobna jest wyczerpać przedmiotu, i ani słowa przeciwko temu, zależy to wreszcie od tego, co i jak się wyczerpuje. Nauka na drodze poważnej idzie wolno i systematycznie, ale jest też to nauka zamknięta w kilku książkach i kilkunastu głowach; ta zaś która ma się rozlać na ogół, musi mieć łatwiejsze ujście i prąd nie tak głęboki, a to iżby nie przepłynęła ponad głowami słuchaczy. Utrafienie środka pomiędzy głębokością a powierzchownością jest niemałym zadaniem, z którego jednak szanowni profesorowie wywiązali się z prawdziwym dla siebie zaszczytem. Już od popularnego wykładu trudno wymagać, aby przedstawiał organiczną całość nauki: on usuwa z przed oczu wszystkie ciernie i zawady, i wprowadza jakoby na otwarty gościniec. Ten tylko będzie istotnie wiedział jak się wyprowadza droga, kto sam przyjmował udział kiedy wytykano linie, karczowano lasy i usypywano groble; ale dobrze też jest postawić nieświadomego na już ubitej drodze, powiedzieć mu jak powstawała i dokąd prowadzi. To jest właściwy cel wykładu popularnego, bez którego wiedza, zamiast rozlewać się na ogół, stałaby się tylko wyłącznym przywilejem jakiejś uczonej kasty i razem z nią zeskorupiałaby się w mumię: wykład taki, bratając uczonego z nieukiem, daje o nauce wyobrażenie, zaciekawia do niej i zachęca, i takiego to już poczęści rezultatu byliśmy obecnie świadkami. Jakkolwiek przeto drogo szacujemy grosz który z powzięcia tej myśli wpłynął dla ubogich, podwyższa się on w uznaniu naszym stokroć w obec tego rezultatu

innego rodzaju jaki mu towarzyszył. Jeżeli zatem należy się dziękować tym, którzy w celu dobroczynnym uciekają się do zabaw, niechże nam wolno będzie uczcić tych, którzy z równą bezinteresownością, a może z większym poświęceniem do tegoż samego celu za środek użyli — nauki.

E.

OBRAZY WIELKOPOLSKIE.

Przez **F. S.**

II.

Lubisz uroczę wiejskich marzeń kwiaty.
F. Morawski.

Któż nie polubił tych uroczych kwiatów sielskiego marzenia, do których serca dawnych zygmuntońskich pisarzy lgnęły z takim uczuciem, z którymi Karpiński przemarzył życie w swoim domku ubogim z lepionymi ścianami, które Kaźmirz Brodziński z taką natchnieniem prawdą wynurzył w Wiesławie, które nasz wielkopolski poeta Morawski w pięknych wyśpiewał legendach? Któż, mówię, nie ukochał duszą tego ludu, w którego sercu tyle spoczywa poezji, w którego rękach leżą zamożność nasza i pierwsze życia potrzeby? Zaprawdę, potrzeba wielkiego samoluba, aby się mógł zaprzeczyć tej swojej zależności od ludu; potrzeba nadzwyczaj obojętnego na wszystkie wrażenia człowieka, aby w rzewnej nucie, rozlegającej się po przestrzeni, wśród rozlanej wokoło ciszy przyrody, nie zrozumiał piękna poezji, nie doznał lubiej rokoszy marzenia i nie wznosił się duchem ku niebu, a sercem nie przyłgnął do ziemi! O jakże szczęśliwa ta ziemia, na której łonie czysta, niepokalana, dziewicza poezja dotąd nie wygasła, która ją uprawia, podnosi i w świętego ognia płomienie rozpala lud własny, rodzimy! Gdzież szukać dziś tej Arkady?

Wielkopolska coraz bardziej się germanizuje, coraz to widoczniej odstępuje od swego pierwotnego kształtu pod względem zwyczajów, ubioru i języka, i rzadkie są okolice, w których czysto-narodowa odbrzmiewa struna, w których wiara nie przygasła, życie się nie zmieniło, język nie skalęczał, przeszłość przetrwała w podaniach i święte pieśni bardów słowiańskich płyną jak dawniej z ust ludu. Do takich okolic, w których się utrzymały zwyczaje starodawne, które przechowują dotąd świętą iskrę miłości dla rodzimych pamiątek, należą powiaty szamotulski, bukowski i kościański. Im zaś dalej zapuszczamy się ku zachodowi, tym większą spostrzegamy odmianę, tym wybitniejsze odcienie dwóch ludów różnoszczepowych. Okolice nadbrandenburskiej granicy, jak powiaty międzyrzecki i babimoski, dziś są do niepoznania, tak tam czas wszystko niszczy, zacierą. W kościańskiej ziemi i w szamotulskich równinach, gdzie odwieczne szumiały lasy, gdzie się dziki zwierz gnieździł i rozbójnicy mieli tajemne swe kryjówki podziemne, dziś na urodzajnych łąkach i obszerne równinach bałwani się wiatrem kołysana, złotowłosa pszenica i kłosiste żyto, a na niedostępnych dawniej bagniskach chrzęszczy kosa rolnika.

Po rozległych obszarach czarnych gruntów pieni się, warczy i hućzy ognista paszcza lokomotywy, a za nią ciągnie się ogon wagonów, łamiąc się wężykiem. Patrzą ze zdumieniem na te cuda nauki i przemysłu sielskich lepianek synowie, bo im się zdaje, że to lucyfer z piecem rozpalonym jeździ przed światła skończeniem, że to nie dzieło człowiecze. O święta prostoto! A przy plancie drogi żelaznej kręcą się roje innoplemieńców, w niebieskie bluzy przybranych: to dzieci zysków, zarobku.

Wysokie kominy, czarnym ziejące dymem, oznaczają różne fabryki; okopcone piece wskazują kopalnie gipsu, wapna, węgla i torfu. Pola i łąki podzielone na klasy, drogi i gościeńce zacięte drzewem owocowym, okopane rowami, wysypane ziemią i kamieniem; obszerne wioski czyste i chędogo utrzymywane, wyglądające jak miasteczka, dowodzą zewnętrznego postępu i ogłady w tych okolicach. A postęp tam widoczny, oświata coraz jawniejsza, i lud sielski coraz wykształceńszy i troskliwszy o przyszłość.

Dziwna bo też żądza współubiegania się o pierwszeństwo panuje od pewnego czasu w wielkopolskiej ziemi. Jeden chłopiec zasieje trzy morgi pszenicy, zasadzi pół ogrodu kapustą, wybuduje nową stajnię;

drugi nie da mu się wyprzedzić, powiększa swe zasiewy, muruje dom z cegły, przykrywa nowym dachem oborę. Jedna matka kupiła swą córkę jedwabną chustę, sutofałdzisty kabacik; sąsiada, widząc to, dobywa z kufra zapleśniałe talary i kupuje na przekór dorodnej swą córkę sznur wielkich jak głóg koralu, szal wełniany i materyalną suknię najnowszej mody. Zamożny wieśniak oddał syna do rzemiosła, drugi czyni to samo, lub odwozi syna na koszt własny do szkół publicznych. Droga więc takiego współubiegania się, oświata w Wielkopolsce coraz bardziej się wzmaga, język się kształci, ubiór przemienia; lecz z tym wszystkiem przeszłość patryarchalna idzie w zapomnienie, bo materializm i chęć zysku zagłuszają prostotę serca, kosztowny ubiór wzniesia pogardę ku biedniejszym, a polor i wyższość rozumu zaszczerpia samolubstwo w umysłach ludu.

Tę wzmiankę uczyniłem już w poprzednich obrazach z okolic Środy, to samo spostrzegać się daje w Kościańskim i Szamotulskim. Z ciągłym i widocznym postępem oświaty zacierają się pamiątki przeszłości, życie dawniejsze towarzyskie odosabnia się coraz więcej w oddzielne warstwy familijnych stosunków, a lud sielski, zwykle tak wesoły, gościnnie i hulaszczy, staje się dziwnie obojętnym, zimnym i poważnym, żyjąc tylko w sobie i dla siebie. Jakaż tego przyczyna? Czy żywioły obce, nacechowane piętrem oziębłości i rozważi, wpływają tak stanowczo na lud wielkopolski? czy też zabiegi spekulacyjnych przemysłowców, maszyny, fabryki i różnego rodzaju wynalazki, odkrycia, wysoka cena gruntów, brak kredytu, zastanowiły ten ludek poczciwy i uczyniły go więcej dbającym o swoją przyszłość i dobre mienie? nie chcę się nad tym rozwodzić.

Mimo to Kościańskie i Szamotulskie nie tak widocznie uległo przemianom, nietylko odstąpiło od zwyczajów starodawnych, szczerzej prostoty i wspólnego z sobą przestawiania, gdyż wiąże je dotąd w węzeł towarzyskiego życia pewien stosunek patryarchalny z dworem i plebanem. Wioski w tych powiatach zostają po większej części jeszcze w rękach polskich dziedziców, a probostwa, dobrze uposażone, obsadzone są prawie wszystkie księżmi dbającymi nietylko o duchowy pożytek, ale i o codzienne potrzeby, o materyalne dobro powierzonych im ogółu. Dlatego lud tych okolic jest po większej części wesołego i swobodnego usposobienia, dorodny, zgrabny i zamożny, a bystry rozsądek, naturalny dowcip i gładka wymowa, połączona z serdecznością i prostotą, odznaczają tych synów sielskiego ustronia od innych Wielkopolski mieszkańców. To też usłyszeć można nieraz piosenkę:

Od Szamotuł, do Kościana,
Chłop za chłopem, gdyby dęby!
Jak psiawiara się nawinie,
Na odlewkę palną w zęby.

Prawda i to, bo po większej części parobczaki tych okolic brani są do gwardy królewskiej; a chłop w chłopa gdyby trzcina, taki prosty, wysoki i zamaszysty. Cóż dopiero dziewoje! toć świeże jak jagody, a rumiane jak maliny, toć zwinne, wesołe sarenki leśnych zarosli! A słuchając ich piosnek o rucie i kalinie, o wianku i Janku, na pół wesołych i skocznych, to znów tęsknych i rzewliwych, mimowoli utkwisz oko w te córy ludu i zachwycisz się jakimś lubem, niewymownym uczuciem serca.

Lecz i w tych dzieciach natury gnieździ się już pewna kokieteria, miłość własna, chęć podobania się. I niedziw, bo Janek, Stach i Franek chwalą stroje, chwalą buzię, jak mówi piosenka:

Na jarmarczek się wyprawię,
Zwierciadelko sobie sprawię,
Będę się w niem przeglądała,
Przymilała, a śpiewała.

Jak nie śpiewać, kiedym rada,
Gdy Jasinek ze mną gada,
Chwali stroje, buzię chwali,
Aż mnie jakiś ogień pali.

A jakie gwarne i ohochoce życie w karczemnej izbie! Wśród zgiełku, wrzasku, śmiechów i śpiewów zaledwie dosłyszeć można skrzypka i dudy, tak wszyscy po swojemu, a głośno, wynurzają uczucia serca, tak im swobodnie odpocząć po pracy, wybijając takt w tańcu na ubitą z gliny podłodze. Od przewodniej niedzieli do adwentu, od trzech króli do popielca, wstrząsa się od huków i krzyków dach zajezdnej przyźby, ściany le-

dwie się nie rozsada od ciżby i tłumów pchających się za karczemne progi, a szynkarka zapocona, zaziąjana, ledwie nastarczyć może kieliszków, ledwie wydażyć w obsłudze. Bawią się wszyscy szczerze i ohocho, bo ksiądz dobrodziej zabawy dozwala, byle nie z obrazą Boską i krzywdą ludzką; bo pan dobry i poczciwy polecił szynkarce wyczęstować półbeczek wódki, za spieszne ukończenie wiosennych zasiewów; bo oto dzień św. Stanisława, patrona parafii, który krew przelał za prawdę.

Wtém wchodzi nowy przybysz, żołnierz wysoki i zgrabny, gwardzista z Berlina, powracający w domowe progi. „Marcin! Marcin!“ rozległy się głosy radosne po karczmie. I wszyscy cisną się do niego: gospodarze, parobcy, dziewczęta, a każdy z kieliszkiem w rękę, na przywitanie. Rozpoczęły się znowu przerwane tany, a żołnierz gwardzista obok Kasi modrookiej puścił się w koło i zawinał polskiego. Dopieroż to radość i nowe życie!

Niemniejsza rokosz ogarnia umysły, gdy we wsi odbywa się wesele u jednego z gospodarzy, trwające zwykle od niedzieli do czwartku, a nieraz i tydzień. Cała wieś prawie przytomną bywa tej ohocho ludowej. A jakie figle patają parobczaki przy oczepinach pannie młodej, jak czapkują szczęśliwym matkom, mającym urodne córy na wydaniu! Te przebierania się za dziadów, żydów, cyganów, te wiwaty, dowcipne wiersze i różne oracye przy jedzeniu, te wreszcie pieśni pobożne i wesołe, płynące tak obficie z ust na ten cel wybranych družbów weselnych, dla zabawienia całego towarzystwa, są dotąd znamiem pięknych zwyczajów wielkopolskich i od pokolenia do pokolenia przechowują się w podaniach.

Lud szamotulski i kościański lubi tłumne życie, duszno mu na osobności. Dlatego gdzie tylko nastreczy się sposobność, zbiera się i radzi ochotnie. A gdy się zbliży zimowa pora i śniegi zasypią gościńce, ledwie który z potrzeby wyjedzie do miasta. Za to we wsi warczą kołowrotki, snują się nitki przedzone, chłopcy i parobczaki na przypieckach drą piérze, starzy dumają po kątach, a na kominie trzeszczy palne łuczywo i wśród wesołej gawiedzi płyną przeróżne gadki, zagadki, śmiechy, dowcipy. To znowu cicho, spokojnie słuchają wszyscy z natężeniem okropnych powieści o zaczarowanych zamkach, pięknych królewskich, odważnych rycerzach, dwunastu rozbójnikach; lub płaczą razem nad świętymi legendami i boskimi cudami.

Wśród tego ludu mieszkał przed laty kilkunastu siwy jak gołąb staruszek. Zwidził on kawał świata, był w Egipcie, pod Samo-sierra, na wyspie św. Dominika, był i w dawniejszych potrzebach, znał wiele ciekawych rzeczy. Kupił się w koło wojownika młode niedorostki, poważni gospodarze, gadatliwe kobiety, a starzec prawil o cudach natury, o krwawych walkach z pohańcami. Płakał na wspomnienia przeszłości, a wszyscy płakali z nim razem, lub śmieli się, gdy przytaczał figle żołnierskie, wygrane bitwy, dziwaczne zwyczaje zamorskich mieszkańców.

Takich patryarchów ludowych dziś rzadko spotkać, usuwają się oni przed młodszym pokoleniem, które ich niezawsze pojmuje. A jeśli gdzie przed chatą świeci łysina, lub biała głowa staruszka, to zwrócona ku niebu czeka boskiego wezwania, by jaknajprędzej zrobić miejsce na ziemi przemądrzałym prawnikom.

Na rozległych polach kościańskiej ziemi wznoszą się okopy i ruiny zamków: to resztki dziejów przeszłości, to świadki walk i krwawych zapasów. A o każdym okopie krąży powieść wśród ludu, o każdym ruinach ballada, legenda. Wśród ciszy nocnej uwijają się po łąkach i miedzach czarni rycerze na prychających ogniem rumakach; na zwaliskach zamków i kościołów kłęczą w bieli dziewice; na miejscach przeklętych zapadłych miast i warowni palą się pieniądze; po bagnach, jeziorach i lasach ukazują się straszliwe widma, chichoczą szatańskie głosy, strasząc przechodniów. A skoro dzionek zaświta, płynie na roli piosenka, odzywają się pastusze ligawki, ryczą krówki po smugach, dzwonią owieczki po łąkach. We wsi zaś dziwy i gwary zebranych kobiet do rady, bo w oborze znaleziono ciotę zamienioną w żabę, która krowom wyssała mleko, parobkowi zadała ustrzał, młodej Jaguli do pięknych czarnych włosów przydała kołtuna. „Na śmierć ją!“ Lecz żaby ogień się nie ima, woda ją na wierzech wyrzuca, kula jej nie szko-

dzi, bo ciota, czarownica, to siostra szatana. Przybiega z widłami od siana jasnowłosa Walenty, mści się nad ciotą, że go jako zmora dusiła w nocy, nadziewa ją na wylot widłami i podnosi tryumfalnie wgórę; a żaba wierzga nogami: widocznie ciota, kiedy jej widły nie uśmierciły. Takie i tym podobne zabobony i gusła, wypływające z naiwnej prostoty serca, właściwymi są mieszkańcom siól wielkopolskich.

Poetyczna ziemia kościańska wiele ich do dziś dnia przechowała. Tyle tam różnych przesądów, podań i pieśni, że trzebaby osobnego dzieła na zebranie wszystkich tych skarbów ludowych. Zbliżają się do tej okolicy w podobieństwie zwyczajów sąsiednie powiaty bukowski i szamotulski. To samo życie swobodne i wesołe, te same powieści krążą po chatach, melodya pieśni tylko się zmienia i ubiór nieco odmienny. Z tych to okolic Wielkopolski czerpali po części swoje pieśni, powieści i legendy poeci ludowi; a ileż ich jeszcze nieznanych, piękniejszych chowa się w sielskim zaciszu!...

PROJEKTOWANY

KOŚCIÓŁ NIEPOKALANEGO POZĘCIA N. P. MARYI NA PLACU GRZYBOWSKIM W WARSZAWIE.

Wzniesienie nowej świątyni Pańskiej, zawsze do ważnych faktów w dziejach każdego miasta zaliczać się powinno, tém bardziej jeśli, jak w Warszawie, dosyć szczupła w stosunku do ludności liczba kościołów, i prócz kilku, niewielkie ich rozmiary czynią to rzeczą oddawna pożądaną.

W żadnej dzielnicy miasta brak kościoła tak mocno czuć się nie dawał, jak w zachodnio-południowej jego stronie, wzrastającej z niezwykłą i niezaprzeczoną energią. Pobożne serce ś. p. Gabryeli hr. Zabiełło, odgadło życzenia powszechnie, i trudno było zaprawdę szczęśliwiej obrać dla kościoła miejsce, jak grunt przez nią ofiarowany w tym celu na placu grzybowski.

Cztery ludne ulice spływają do obszernego placu grzybowskiego, położonego w środku prawie rozległej, a coraz to ludniejszej parafii św. Krzyża; przyszyły zaś kościół wznosić się będzie w środku jednego z boków trójkątnego placu tego, wprost naprzeciw ulicy Granicznej; tym sposobem będzie on widzialnym aż z placu bankowego.

Załączony tu rysunek podaje nam elewacyę i planę kościoła; dołączamy do niego kilka słów objaśnienia, mieliśmy bowiem sposobność widzenia szczegółowych planów, przygotowanych już do wykonania przez radcę budowniczego Henryka Marconi.

Rozpatrzmy się najprzód w plancie. Po dwunastu stopniach całą szerokością frontu wstępuje się do portyku, pomiędzy dwiema wieżami zawartego; trzy jego arkady odpowiadają potrójnemu wejściu do kruchty, a następnie trzem nawom kościoła. Z dwóch boków gmachu, zaraz za wieżami, są dwa portyki czyli podjazdy sklepione, z których po stopniach wchodzi się do kruchty, lub zstępuje do kaplicy grobowej. Portyki te stanowią wielką dla mieszkańców dogodność, zwłaszcza przy długim często oczekiwaniu na obrzędy ślubne, lub wyprowadzaniu zmarłych; powozy też i karawany nie tamują tym sposobem pieszym wejścia środkiem kościoła.

Nad całą kruchtą i portykiem środkowym, jest bardzo obszerny chór, który nietylko organy i śpiewaków, ale i całą orkiestrę pomieścić może dogodnie. Troje odrzwi w kruchcie prowadzi do trzech naw kościoła, który w plancie przedstawia formę krzyża łacińskiego, formę uświęconą nietylko tradycją i symbolizmem, ale nawet i praktycznością. Na sześciu wyniosłych i lekkich filarach oddzielających nawy od siebie, wsparte jest sklepienie, które wszędzie jednaki jest wysokości, oprócz środka ramion krzyża, gdzie ono wznosi się znacznie wyżej, stanowiąc niejako kopułę, oświeconą z wierzchu latarnią.

Najczęściej widzimy w kościołach, że wysokość sklepień naw bocznych dochodzi zaledwie do zaczęcia czyli oporu sklepienia nawy środkowej; tu zaś jest inaczej: jednakowa będzie wysokość sklepienia we wszystkich nawach, tak jak w kościele katedralnym i św. Krzyżkim.

W końcu naw bocznych, za ramionami krzyża, są

w stajni łopatą w bilard, pucując konia, myjąc kociołek i skrobiąc kartofle pod pompą,“ gdy nań kółkę kucharska przypadła; zbliżony do starych wiarusów i młodych nieokrzyszanych rekrutów, potrafił szczęśliwie pochwycić tak jednych jak i drugich charakterystykę. Starych *wyjadaczów*, jak zwano długo służących żołnierzy, nie brakło, bo legiony włoskie były głównym zarodem późniejszej armii księstwa warszawskiego. W tym gronie miałes wojaków, co odbyli kampanie włoskie, nieszczęśliwą wyprawę na wyspę San-Domingo i kampanią hiszpańską. Mieli więc dosyć zasobów do dykteryjek i sposobność do wykrzesania się w świecie. Jakoż znalazem wielu wyższych, świetnie się odznaczających oficerów, których wykołysała pleciana z łożyny kołyska, zawieszona u belki chaty chłopskiej. Na polu bitwy, odwagą, mężstwem, zdolnościami zdobywali sobie szlify oficerskie, zaszczytne krzyże i szlachectwo.

Słuchając nieraz opowiadań zajmujących ś. p. Paszkowskiego, uprosiłem go aby mi je spisał. Tak otrzymałem *Rosół kanonierski*, tak poniższą charakterystykę naszych wiarusów, którą w całości tu przywodzę.

BAJDY ŻOŁNIERSKIE

dla K. Wł. Wójcickiego.

„Czy ci się, panie Kaźmirzu, udało kiedy podsłuchać żołnierskiej bajdy, czyli po prostu łgarstwa, jakie sobie w biwakach, albo w koszarach na długich zimowych wieczorach opowiadają?

Każda warstwa społeczna ma swoich jowialistów, żartownisiów, swoich z powagą łgarzów, mistyfikatorów nawet, i dziwny, sobie właściwy, trudny do naśladowania dar w opowiadaniu. Tak to im do twarzy, iż boję się sztucznym podrzeźnianiem szkoszlawić tę *in crudo* nieociosaną fantazyą i sfałszować postacie żołnierskie.

Szczególniej starzy bywalcy, tak zwani między sobą *wyjadacze*, lubią, jak to mówią, pociągnąć *na lisa* świeżych żołnierzy i uchodzić między nimi za *mądraków*. Bo zawsze i wszędzie człowiek rad być podziwianym. Nowicyusze słuchają ich z rozdziawioną gębą, i niejedną wyporzę ostatnią złotówkę w domu zaszytą, aby uczestować opowiadacza, i prosi:

— A jescce co, panie starsy, a jescce co.

Oto w obozie zeszło się dwóch młodych wiarusów. Poznasz ich po dyalekcie, że to jescce rekruty i z okolic Częstochowy.

— Z którego ty pułku?

— Z piérsego, a ty z którego?

— Ja z sesnastego.

— Z se-snas-te-go! (rachując) piérsy, drugi, tseci... kaj to ta jest?

— A kaj ty idziesz?

— Ot tam przy ognisku jest kupa wiarusów, tam pewnikiem starzy opowiadają sobie wszelakie wszelakości, jakie wędrując po świecie widzieli. To powiadam tobie, ciekby słuchał i słuchał tych ciekawościów. Jenó chodź ze mną, obacysz!

Jakoż trafili kiedy dobrze podszarżany *Troczek* pleczysty i dorodny grenadyer, ozdobiony kresą przez nos i prawy policzek, opowiadał swoje przygody z niewoli angielskiej.

— Otóż powiadam wam, że ja w Yorku widział taki wielki kocioł do porteru, że dwanaście rybaków po nim czółnami pływało i szumowało.

— Nie gadaj! (W mowie ludowej rozumie się: czy to prawda? czy nie kłamiesz?)

— Toć mówię, że na swoje oczy widział. Co wy sobie myślicie? toć oni na cały świat robią portera: a gdzieby oni nastarczyli w takich jak nasze? Albo to dziwota; na szerokim świecie bywają różne różności! A coby wy na to powiedzieli, że jakiś tam wędrowiec po morzu, na desce dopłynął do jakiejś tam wyspy, bo się okręt rozbił, i tam zastał tak małych człowieczków, co ich cały pluton w kieszeń zapakował; a na drugi raz nadybał takich wielkoludów, że sam u jednego na paznociu jak chrabąszczyk siedział. A to wszystko jest prawda, bo stoi w drukowanej książce, jak nam bywało czytał w koszarach kadet drażkowy, a teraz jeno się z oficerami zadaje.

— A prawda, zawsze z oficerami. Łepskie to człeczysko. Jenó patrzyć jak zostanie oficerem. On i tak niejednego porucznika w kozi rógby zapędził; tego w głowie!

— Tylko mu w plecach poprawić, bo maszeruje jak stara krowa. Toć mu tyle razy pokazywałem, jak

to trza wyciągnąć się na biodrach, jak wydać piersi naprzód galante. (Tu stary Troczonek powstał, i pokazał co umie, a młodzi podziwiali jego żołnierską postawę).

— Toć i ja niemałe dziwy widział, ozwał się *Rataj*, sążnisty grenadyer, któremu także pod Borysowem kula karabinowa dała w twarz wojenny pocałunek. Kazali nam wojować Persanów, Kirgizów, Czarkiesów i inne narody, to tam taka zrodziła kapusta, że bywało jak dészcz, to cały pluton robi musztrę pod jednym liściem tej kapusty.

— Oh! Matko Boska częstochowska, w cémże oni tę kapustę getują?

— A jużci w tym kotle, co go Troczonek w Anglii widział.

Naśmieli się starzy z odparowanego konceptu, a młodzi i jednemu i drugiemu dobrodusznie wierzyli. Zabrał potem głos kanonier:

— Już to wy wszyscy kamraci wiecie, że pies jakos żołnierza się czepia. Otóż jak my byli w oblężeniu Gdańska, przyczepił się do naszej kompanii niewiedzieć z kąd i czyj pies. Był na żart pałką uderzyć w bęben: ehe! już on jest! Czy do apelu, czy na musztrę, czy do marszu, nasz pies przy dobozach i przed nimi maszeruje; pocziwe psisko! My bywało idziemy strzelać do *poligonu*, i pies z nami, zawsze przy dobożu i patrzy na działa. Jak które wypali, on goni za świstem kuli lub granatu, aż gdzie rekoszują, i drze w tym miejscu pazurami. Nasz kapitan płacił za niego w magazynie *racye* żołnierskiej żywności, i furyer regularnie dla niego *fasował* chleb, mięso i kaszę. W oblężeniu działa dla wszelakiej gotowości zawsze były ponabijane. Nikt nie dał zważania, że pies, co zawsze był z nami, wlaź w sześćdziesięcio-funtowy moździerz, zwinął się w kółko i układował na bombie. Aż tu w ściśniętych kolumnach podstępują Prusy. „Pal! Pal!“ komenderuje porucznik; przykładam lont do panewki, buchnął moździerz, a ja w te pędy wskakuję na parapet, patrzeć gdzie bomba padnie. Aż tu widzę jak nasz pies leci naprzód, a bomba za nim. Co bomba dogania go, to pies odwróci głowę, warknie *wrrre!* bomba się zatrzyma i znowu dalej. Potem pies i bomba wpadli w kolumnę nieprzyjacielską. Tyle my go już i widzieli!

— Brawo, Płachecki! zawoła porucznik. Bomby i psy posyłasz na nieprzyjaciela; to warto krzyżać. A ja: pał go sześć nieprzyjaciela, a psa co szkoda to szkoda.

— Ja tam, chociaż po świecie tak daleko nie wędrowałem jak wy stare wiarusy, ozwał się chwacki i filuterny wołyżer, a taki opowiem wam ucieszne moje podsłuchanie. Ongi my maszerowali z Zamościa do Warszawy. Sztab stanął w Lewartowie, kompanie rozkwaterowano po wsiach. Nasza wołyżerska pomaszzerowała na trakt do *Czemiernik*, do jakiejś wioski w lesie. Kiedy my do niej dochodzili, wlatuje kogut na płot, załopotał skrzydłami, i wyraźnie, jak oto wam mówię, zawołał: *żoł-nie-rze-ja-dą-a-a!* A jendyk na to: *po-co te galgany! po-co te galgany!* O to bestya uczył nas, myślę sobie. A tu znowu kaczka drepcie a woła: *Agata sprzątała! Agata sprzątała!* Kokoszka zaś sobie jak nie zamolestuje: *bi-daż mnie, bida, bida bida! bidaż mnie, bida, bida, bida!* Nie bój się moja kwoczko, lba ci nie urwę, kiedy jest jaj z parę mędli na jajecznicę. Dalej słyszę odzywa się ciele na postronku za piecem: *naj-go-rzój mnie! naj-go-rzój mnie!*

Śmieli się drudzy z takiego udawania głosów, czego pismem wydać niepodobna.

— Bogiem a prawdą, przyświadczył jeden, trafiło się chlasnąć po tybinkach kaczkę, gęś, kure, jak się nic nie dostało w chałupie.

— Na wsi to pół biędzy, odezwał się drugi, czém mogą i jak mogą nakarmić wojaka. Zawsze tam nieboszczyk prosiak się znajdzie, to człek nieźle sobie podżyruje. Ano gorzej w miasteczkach z temi *lykami*. Nastraszyć którego, zaraz bestya leci do burmistrza, ot i skarga na piśmie. Tu trzeba inaczej sobie radzić, trzeba z niemi *mędrować*. Raz dali mi kwatery u żyda. Ja wołam *jesć!* a on: „jak wason przyniesie mi z magazynu, to kobieta zgotuje.“ To tak! poczekajno ty łapserdaku! Zagram ja ci inaczej! „Gdzie będę spał?“ Żyd pokazuje mi ką. Ja do krędy, odznaczam kręse od ściany do ściany na podłodze i zapowiadam żydowi, że to moja kwatery, żeby się nikt nie ważył mi jój nachodzić i spaniu przeszkadzać, bo będę bił! A tu po izbie chodzą kury, kręcą się ży-

dziaki. Strach na żyda; zmiękczał. Kiedy ja rozta-sowywam się w mojej kwatery i zawieszam moje manatki, on przychodzi z wódką i traktuje. Znalazły się potém i jaja, i sér, i piwo, i łokszyny — i zgodą!

— Dobrześ sobie kamracie z tym barabaszem pozczą!

Potém to ten, to ów chwalił się ze swojemi sposobami do wyłudzenia czego w niegościnną kwatery. Jak się już o tém do syta nagadali, powstało dwóch figlarzy, i zawiązali między sobą dyalog podrzyżniający starego wieśniaka, wielkiego tabaczarza, który wychodził umyślnie na gościniec, zaczął przejezdnych i zawiązywał pogadankę, aby się nazażywać cudzej tabaki.

— A z kądżeście wy?

— A z Dziwy (nazwisko wsi).

— Bodajście wy! (to się ma rozumieć: nie poznałem).

— I gdzie jedzieta?

— Do Warszawy.

— Bożez mój łaskawy! I cóż wiezieta

— Racki (raki).

— Dajtaż tabacki! Tośta z Dziwy?

— Z Dziwy.

— Bodajście wy! I jedzieta do Warszawy?

— Do Warszawy.

— I wiezieta racki?

— Racki.

— No dajtaż jescce raz tabacki! Jakaz tész to ta tabacka?

— Lewandowa! (kichnął silnie).

— Nie cemu taka zdrowa! Tośta z Dziwy?

I od początku dyalog rozpoczyna się, a dochodząc na *racki*, żąda *tabacki*, potém dodaje:

— Co tész ta tabacka kosztuje?

— Ceski (sześć groszy).

— Ojceż mój niebieski! (znaczy: jak to tam).

I znowu powtórzenie. Żeby zaś gadkę przedłużyć i jescce tabaki zażyć, pyta:

— Gdzieście tę tabackę fajną kupili?

— U Jacka.

— Ślicna tabacka! Tośta z Dziwy? i t. d. Gdzie tész tam mieszkata?

— Na rogu.

— Chwała Panu Bogu! Teraz jedźta sobie, bo już tylko *krte* tabaki mata.

Wszystko to, panie Kaźmirzu, dla czytelnika jest tylko historyą, nie dramatem, bo niema znaków pisarskich do wydania mimiki właściwej i intonacji głosu, potrzeba ku temu żywego słowa, i to nie w podrzyżnianiach, lecz w oryginałach. Są pewne fizyognomie, którym te bajdy do twarzy, i słucha się ich ciekawie, z zajęciem. — Naśladowane przez kopiistów, nudne. Zachowaj je w twoich szpargałach jako historyą. Już się one nie powtórzą, bo oryginały... caput! Bogu cię polecam. J. Paszkowski.

KTO WINIEN?

(KILKA MYŚLI O STANOWISKU SPOŁECZNYM KOBIET).

(Dalszy ciąg.)

Kornelia matka Grachów z dumą się odzywała, wskazując na swych synów: „Oto największy mój strój i jedyne moje ozdoby.“ Leonidas, gdy szedł pod Termopile, rzekł do swój żony: „Na pamiątkę zostawiam ci prośbę, abyś zaślubiła męża godnego mnie.“ Matka naszego Paska nigdy go nie odwoziła od złych a niebezpiecznych okazji. Chodkiewicz pożegnał młodą małżonkę, i z przeczcuciem że na wojnie chocimskiej położy swą głowę, pospieszył stoczyć walkę z nieprzyjacielem ojczyzny. Siostry i żony naszych rycezy, wkładały im miecz do ręki i w imię Boże wyprowiały na bitwę, chociaż wieść mówiła o krwawych ofiarach.

Niewiasty były mężne i dumne, bo miały mężów i synów, któremi się chlubić mogły. Wszak Kornelia to córka Scypiona a żona Gracha; wszak nasz Pasek wyrzekłby się matki, któraby mu w domu gnuśnić kazała; wszak Anna księżniczka ostrogska dobrze wiedziała, że taki Chodkiewicz gardzi żoną, która głosem małżeńskości chce powstrzymać męża od przelania krwi za ojczyznę. Niewiasty nasze wiernie kochały, bo miłość ich nie była zdradzaną, bo nieje-

den, tak jak Jagiełło, całe życie nosił pierścień swój bogdanki, i dopiero w godzinę śmierci oddawał go przyjacielowi, któremu powierzał opiekę nad dziećmi.

Nie dziwny się więc dzisiejszym kobietom, że wybiegając za obręb zakreślony ręką Opatrzności, błędzą i radeby panować tym, którzy panować niegodni; kobieta pragnie rozszerzać swe rządy, bo widzi żeśmy zdolni do słowa, lecz nie do czynu.

Człowiek czynu, ważne to wyrażenie, ogromnetreścią, wymowne znaczeniem. Lecz nie myślcie że tylko w czasach wielkich przemian, tylko w chwilach losowych ludzie czynu rodzić się i istnieć mogą; człowiek zawsze człowiekiem być może, a wartość życia jego zawsze czynem się ocenia. Te nawet progi domowe, to szczupłe ognisko rodzinne, te nasze salony i zebrania, to nie tak małe pole jak się zdaje; wszędzie możecie roznosić światło i być przykładem do naśladowania. Niech tylko na waszém czole jaśnieje myśl jedna, niech zawsze jeden cel ogrzewa pierś waszą, niech prawe słowo skłania wasze ucho, to i wśród codziennych zajęć, wśród krzotań się o chleb powszedni, będziecie ludźmi myśli i czynu. Myśl, to dusza wasza, a te drobne uczynki w codzienném życiu, to świadectwo, to najlepszy dowód, żeście gotowi z poświęceniem wszystkiego i myśl wyższą godnie w czyn wprowadzić.

Przebiegnijmy jednak nasze towarzystwa i większe zebrania: wszędzie fizyognomie znużone, wszędzie na ustach zwiędły uśmiech, na czole martwa bezmyślność. Gdzie staniesz, tam czujesz zimno, gdzie się zbliżysz, tam słyszysz rozmowy bezbarwne, o niczym. A przecież kobiety dziś nawet, pomimo wszystkich swych błędów, pomimo wystygłego serca jakie w nich widzimy, chętnie gromadzą się koło tego, kto rozpocznie rozmowę pełną zajęcia i życia, chętnie dla słów prawdy i zapału poświęcą cześć gadaninę. I przyznajmy że gdzie życie, gdzie rozmowa ważniejsza, tam zwykle głos kobiet pierwszeństwo trzyma; one zamiast słuchać, nieraz nauczają, zamiast doznawać przyjemności, zabawiać nas muszą.

Ale cóż w takim zebraniu dziewczica młoda, pierwszy raz na świat występująca, skorzystać może? Serce ję, zdolne jeszcze przyjąć wszelkie wrażenia, nie spotykając nigdzie szlachetnego zapału, lgnie mimowoli do tych obrazów, jakie snują usta salonowców, i za powrotem do domu, potrzebując wspomnień, marzy o tańcach, o strojach, o twarzach młodzieży. Dziewica potrzebuje wzruszeń, a nie napotkawszy szlachetniejszych przedmiotów, doznaje bicia serca na wspomnienie pochwały jaką otrzymała za piękną suknię! Czy to nie szkoda tych marzeń, czy to nie żal tych pierwszych wzruszeń?...

Niejedna może wychodząc z domu spodziewa się spotkać mężczyznę, a spotyka tylko bezduszną lalkę; niejedna, kierowana siłą przecucia, chce w młodzieńcu uszanować przyszłego człowieka, a widzi tylko salonowca. Dziwić się więc że takie dziewczę od razu spojrzy na ludzi jak na stworzenia, którym tylko bawić się i weselić przykazano? dziwić się że po latach kilku uwierzy w to tylko co błyszczą i odurzają?

Może mi powiecie że zimno i zepsucie świata nie zarazi serca dziewczicy, jeśli ono w domu rodzicielskim umocni się uczciwymi zasadami; może powiecie że słowo ojca i matki powinno ją strzedz na szerokiej drodze życia. Prawda. Ależ panowie, jaką opieką otaczacie swe dziecko, jaka nauka wychodzi z ust waszych, kogo wprowadzacie do domów swoich, kogo upoważnicie, aby w niewinne serca waszych córek siał ziarna kwiatu czy kłokolu? Podobno na ostatku zwykle pytacie się o honor tego, kto wchodzi w wasze progi, a przedewszystkiém badacie jego stanowisko i jego majątek; mało dbacie o drogę na jakiej zrobił to co ma, mało dbacie czy pracą, czy podłością doszedł do kawałka chleba; dość wam że jest człowiekiem który się żenić może.

Matka, jeśli kocha córkę, jeśli pragnie dla niej szczęścia, chce ją wydać za męża co najlepší, bo albo posag córki boi się powierzyć człowiekowi który mniej posiada, albo drży na samą myśl, że dziecku ję przyjdzie kiedyś walczyć z niedostatkiem, a może i z nędzą; chętnie więc w domu swoim przyjmuje człowieka, któremu byt materyalny pozwala myśleć o szczęśliwej przyszłości małżeńskiej, a z tej strony zadowolona, co do reszty polega na sądzie swego męża i ojca rodziny. A ów ojciec, jakże często zamyka uszy już nie na wieści, ale na żywe dowody. Powiada sobie: to człowiek kariery, to człowiek z przyszłością w rę-

ku; mają tam wprawdzie coś przeciwko niemu, ale to połowa prawdy, połowa fałszu, on jeszcze niewinnie cierpi za czyny ojca. A zresztą choćby i wszystko prawdą było, alboż to on jeden taki! I wten to sposób uspakaja żonę, namawia córkę, tworzy sobie o życiu wygodne pojęcia i swęj rodzinie daje fałszywe wyobrażenie o cnotach i występkach.

Taki ojciec niegodzien stanąć przed sądem i jak Fabiusz powiedzieć: „Puście go, bo gdyby był winowajcą, nie byłby moim zięciem.“ Taki ojciec stokroć winniejszy niż matka, bo on, żyjąc w świecie, zna nie wieści same, ale prawdę, a jednak ma odwagę wmówić w siebie i w rodzinę, że opinia nikczemne drogi toleruje, ma odwagę wydać córkę za człowieka, którego byt materyalny jest jedyną zaletą.

Pod okiem takiego ojca jakże się może uszlachetnić serce dziewczicy, kierowanej wiecznie zasadą: szanuj tylko tego, zajmuj się tym tylko kto ma chleb, szukaj w mężczyźnie dobrej pozycyi, a miłość i po ślubie się znajdzie?

Od dziecka córka słyszy o biedzie, o strasznej walce z potrzebami życia; matka i ojciec przedstawiają ję wszystko w najczarniejszych kolorach; nigdy niema mowy o sile, o potędze jaką człowiek powinien w sobie znaleźć na zwalczenie biedy, lecz tylko o sposobach jakimi od niej można się wywinąć. Nie powiedzą rodzice: „Pracuj na chleb uczciwie, Kochaj kogo serce wybierze i módl się aby ci Bóg dopomógł“, lecz zaklną własne dziecko: „Chcesz być szczęśliwą, to kieruj się rozumem, umiej zniewalać urodę, zdobywaj serca niewieścią zręcznością“.

Prawda że biada to straszny potwór, który niszczy najpiękniejsze kwiaty, zabija miłość rodzinną. Walka ciągła i bez nadziei, walka o chleb powszedni, oszmat na pokrycie ciała, o grosz na zapłacenie przytułku, to męczeństwo straszne, dreszczem na samo wspomnienie przejmujące. A jednak i w tej ciężkiej chwili życia, któż pierwszy upada? Matka nieraz pracuje dniami i nocą, oporządza dzieciaki, kieruje gospodarstwem, i choć ją siły opuszczają, dodaje jeszcze ducha mężowi; — a ten rzuca na stół zarobiony pieniądz i przeklina chwilę w której się ożenił. Matka pracuje, zalewa się łzami i nie opuszcza piskłat; ojciec zrospaczony, zaniedbuje obowiązek, rzuca dom lub w bezmyślną gnuśności śmie przyjmować jadło okupione krwawą pracą słabej kobiety. Powiedźcie teraz jak rzadką była nędza, gdybyśmy i my posiadali tyle mocy, tyle poświęcenia, tyle wytrwania i miłości, gdyby tak odważna kobieta podała rękę równie odważnemu mężczyźnie?

O my lękamy się walki o chleb powszedni, bo pod tą walką rozumiemy tylko pracę, za którą trzeba utrzymać siebie, żonę i dziatki; zimno nas przechodzi na wspomnienie, że nigdy nam odpocząć nie będzie wolno, że nigdy nie powiemy: „teraz czas używać“. Z taką to myślą, z taką trwogą w sercu wstępujemy w świat i szukamy nie serca, ale pieniędzy, nie szczęścia, ale polepszenia bytu; patrzymy na kobiety, a hołdujemy właścicielkom mniejszych lub większych kapitałów. Kobiety znów z zasadami przejętymi od ojców wpatrują się w nasze sprawy, odgadują myśli, douczają się na naszych przykładach i zajmą się młodzieńcem z sercem i rozumem, oddają rękę człowiekowi bez ducha, bez mózgu, ale z fortuną na ich rozkazy. Komedia za komedią!

Niema nic straszniejszego jak kobieta bez serca; rozum ję odważy się na wszelkie pomysły, popchnie ją do wszelkich ostateczności zapewniających szczęście, tak nędznie pojęte; wyrzecz się wszystkiego przez co niewiasta ma udział w rządach świata, i gardząc miłością, wzgardzi zarazem wstydem. Taka kobieta, choćby żyła w najpiękniejszych towarzystwach, już pokryta jest hańbą; a my jednak dbamy o ję uśmiech, dobijamy się o ję pochwałę!

Kobieta już straciła ten piękny a zasłużony urok, jaki miała nie za dni naszych. Dawniej przed dziewczicą młodzież chlubiła się ze swoich czynów, przed kobietą przyklekała, prosząc o najwyższą nagrodę, o uścisk i błogosławieństwo. Dziś mało to już obchodzi kobiety, bo też niewielu coby się mogli pochwalić swemi czynami, coby godnemi byli czystego uścisku polskiej niewiasty. Dziś najlepsza kobieta nie odbiera od nas żadnego hołdu, bo grzeczność ję okazywana, to tylko polor wychowania, który jest formą, a nie uczuciem. Czyż dzisiejsi mężowie uważają swą żonę za jedyną towarzyszkę życia, dla której wiare i przyjaźń dożgonną zachować należy? Nie, dziś żona,

to kobieta potrzebna w domu, to gospodyni nasza, to niania naszych dzieci. Od ołtarza odchodzimy już na wół ostygli, to jest spokojni i pewni swego, bośmy już interes zrobili, bo kobieta jest naszą własnością.

A młodzieniec czyż czuje jakikolwiek rycerski szacunek dla kobiety, która może zostać jego żoną, czy będzie bronił ję honoru i wtenczas, gdy małżeństwo, dla jakich słusznych powodów, nie przyjdzie do skutku? Nie, my nie dbamy dziś o względy niewiasty, my dziś kobietę uważamy za sposób do zdobycia wziętości i rozgłosu. Hołd, to potrzeba serca, a wielu nas dzisiaj śmiało by wyznać głośno że kochają, że przez tę miłość się uszlachetniają, że walczą i pracują w imię swęj najdroższej? Czyż mielibyśmy tyle szlachetnego zapału, aby przyznać się, że nie wiedząc o wzajemności, nie będąc pewnymi ję ręki, kochamy całym sercem młodzieńczém a uczciwém? Nie! takie wyznanie wstydemby nas okryło, bo my kochając chcemy pewności, bo my hołdując chcemy posiadać, a przyznacie że taki hołd i uczucie, godne są pogańskich konkurentów Aspazyli lub Heleny.

Niepodobna nam dziś żądać miłości Abelarda i He-loizy, niegodniśmy naśladować Petrarki lub Tassa, ale boleć trzeba nad tém, że gdy serce zabije pierwszą miłością, gdy, jak ślicznie powiedział św. Augustyn w swoich wyznaniach: „kochając się, bo kochać potrzeba“, już kierujemy się rozumem i naprzód obliczamy czy ta, którą mamy na oku, odda nam swą rękę. O panowie, to miłość interesu! nam się zdaje tylko że kochamy, my z góry chcemy pewności, że serce nasze znajdzie nagrodę... w posagu kochanki!

I dziwić się że pomimo młodości, tyle trupów między nami?!

Narzekamy na kobiety że są płochę, że niszczą nasze mienie, że zbytkiem i marnotrawstwem spro-wadzają nieszczęście do domu, a zapytajmyż siebie co więcej protegujemy, czy suknię z atlasu, czy z płócienka? Chętniej bijemy czołem przed tą, na której są stroje i bogactwa, chętnie wkładamy i na siebie samych to wszystko, co uwagę kobiety zwrócić i podbićby mogło. Nie wierzę już że kobietę można ująć rozumem, szlachetną myślą, świętém spełnianiem obowiązków, a kobieta poznaje w nas tę niewiarę i pogardza mężczyzną, dając mu jako zakład swęj wartości: zbytki i pawie kolory. W dobraném towarzystwie braknie nam odwagi zbliżyć się najpierw do osoby, która najskromniej ubrana, niema rozgłosu i wziętości; nie zważamy że to córka zaenych rodziców, że krew szlachetna płynie w ję żyłach, a serce bije młodzieńczym zapałem, i chociaż uczucie niezupełnie wygasłe ostrzeże nas, że ta więcej warta od bogatej sąsiadki, wyrosłej na śmieciach podłości i sobkostwa, nie mamy odwagi pójść za głosem wewnętrznym, lękamy się fałszywej opinii, serce zmuszamy do kłamania i czcimy kobietę, którą świat uznał za bogatą i błyszczącą w towarzystwie. Dla sukni poświęcamy cnotę, dla jednodniowego blasku lekceważym rodzinne zasługi.

My więc jesteśmy główną przyczyną, że dziewczica wstępując w świat nie pragnie miłości, ale tylko męża, zapiera się swego przeznaczenia, nie wierzy w potęgę serca i szuka tylko opieki, lęka się tylko sieroctwa. My upoważniliśmy ją do takiego poglądu na świat, do takiej żądzy tylko dachu, tylko schronienia. Nie dziwić się też że małżeństwo po latach kilku czuje ciężar wspólnego pożycia, że mąż żałuje niedorzecznego kroku, że żona nudzi się towarzystwem tego, którego nigdy nie kochała.

Kobieta nim kochać zacznie, wprzód szanować powinna; kobieta serca, pragnie serca, ale żąda i rozumu; kobieta oceniać powinna mężczyznę nie z powierzchowności, lecz z wewnętrznych jego przymiotów. A jednak dzisiaj dzieje się przeciwnie: najczęściej ten ma powodzenie, kogo zdoła twarz urodziwa, którego usta piastują uśmiech zalotny, którego oczy tchną niewieścią słodyczą, kto bogaty tém tylko, czém go natura i krawiec obdarowali; a człowiek z męzkim obliczem, z uczciwém spojrzeniem i z prawdą na ustach, zwykle bywa poniżany, a chociaż która zwróci na niego uwagę, uwaga to chwilowa, przelotna.

Wina w tém kobiet, ale wina i nasza, bo my zmuszamy je aby ciągle żyły w atmosferze kłamstwa, kwiatów i usypiającej woni. Twarz poważna, twarz mężka, to rzadkie zjawisko w naszych towarzystwach; umysł dojrzały i zajęty wyższą myślą, to wypadek pomiędzy młodzieżą, która rzadko ukształceniem swó-jem może wyrównać kobietom. Kobieta, widząc w męż-

czyżnie tyle tylko lub mniej sądu i wiedzy orzecza. Ie ich sama posiada, zmuszoną jest szukać w nim innego powabu, a przekonawszy się że nie może cenić rozumu, zaczyna cenić powierzchowność.

Co do zewnętrznych oznak wychowania, ród niewieści i mężki stoją prawie na równi; ten śpiewa, tamta gra, ten tańczy, tamta deklamuje; ale w naukach które wpływają na nasze zdanie, na nasz sąd, wyznać trzeba, że kobiety po części nas wyprzedziły. Zresztą one jeśli nie mozolnymi studjami, to wrodzonym instynktem zdobyły to, czego my instynktem zdobyć nie możemy, a pracą nie chcemy. W rodzinie więc kobieta musi wziąć górę nad swym mężem, musi rozszerzyć swe panowanie i wyrokować tam, gdzie zdanie męża powinno być stanowcze; żona wychyla się za obręb domowego ogniska i szuka rozrywki, bo przy boku męża nie znajduje tego, co świat umysłowy dać może.

Jak w życiu powszedniem tak i w literaturze nawet kobietom pozwoliliśmy zabrać głos pierwszy: one wyrokują, one rozmawiają z piszącymi, a mężom swym, wyłączonym z tej pogadanki, dają stanowisko bezmyślnego świadka. Czyż nie wstyd nam wyznać, a wyznać trzeba, że gdyby nie kobiety, literatura nasza nie doszłaby nigdy dzisiejszego rozpowszechnienia? Czyż nie wstyd wyznać że część beletrystyczna wyłącznie pod ich smakiem się rozwija, że one koronują lub detronizują autora, że na nich czeka nieraz i nauka poważna, potrzebująca głębszej myśli, obszerniejszego sądu? Prawda że i młodzież mężka czyta, ale czyż czyta z takim życiem, z takim przejęciem się, z takim pożytkiem, jak czytają kobiety? Kobiety wszystko interesuje, zachwyca lub oburza, nas bawi lub nudzi; a tam tylko życie, gdzie zapał lub zgroza zjawić się mogą.

Kobieta idzie za męża aby nie zostać sierotą, podaje rękę człowiekowi obcemu, zamyka oczy na jego pustki umysłowe, a dopiero po ślubie, gdy w codziennym pożyciu musi spojrzeć na męża jak na mężczyznę, rumieni się za niego i albo niższość jego stara się przed ludźmi osłaniać, albo mianuje się panią we wszystkim. Matka w serce dziecka powinna przelewać pierwsze zasady miłości i wiary, ona swym słowem powinna karmić czystą duszę aniołka, ona powinna namaścić swe dziecko, aby się do niego nigdy nie przyklepił kał i brud tej ziemi. Matka w pierś niewowlecia wszczepia miłość do tego, co dla nas jest święte, czyste i niepokalane; ona nie naucza, nie rozwija rzeczy, ale dając samą treść i ducha, przygotowuje dziecko do nauk jakie ojciec ma mu udzielić. Ale czyż ten ojciec godny być nauczycielem własnego syna, którego serce czyste i niewinne jeszcze, przyjąć może wszystko czem jaśniej powinien młodzieniec polskiej rodziny? Czyż ten ojciec, który pracując na przyszłość, nie wie jak dawniej bywało, może nauczyć syna naszej historii, czyż może mu opowiedzieć o naszych bohaterach, świętych, o męczennikach?... Czegóż taki ojciec będzie nauczał, który pustki ma w sercu, pustki i w głowie!

Gdy kobieta, dumna ze swój wyższości, zaczyna w domu panować, rozrywa się węzeł małżeński, rozrywa się rodzina; gdy zaś kobieta ulega, męczeńskie jej życie z niczym nie da się porównać. W pierwszym wypadku, mąż wojuje, ściga żonę i obrzuca ją tysiącem podejrzeń i złorzeczeń, lub ślepo, nikczemnie, ulega i patrzy obojętnie na wszystkie zdrożności; w drugim zaś razie żona cierpi w pokorze, zalewa się łzami, wędnie przedwcześnie i westchnieniem bolesnym zapełnia ognisko rodzinne. Jak w jednym tak i w drugim przypadku dzieci widzą zły przykład, uczą się zawczasu nie kochać, ale krytykować i potępiać; a studia takie na własnych rodzicach, to świętokradztwo!

Gdybyśmy tak z duszy pragnęli dobrych żon i matek, to pewno kroki nasze byłyby tylko tam skierowane, gdzie spotkać można cnotę i niewinność; gdybyśmy tak bardzo dbali o to, aby w społeczeństwie naszym jaśniała cnota płec niewieścia, aby tylko uczciwa kobieta odbierała hołdy, pewno byśmy, nie schlebiali tym, które wyzute ze wszelkiej godności, śmiały stawiać czoło naszym matkom i siostram; gardzilibyśmy kobietą która urodą lub bogactwem chce innym przewodniczyć, nie witalibyśmy niewiasty, która swą hańbę brylantami chcenagrodzić. Tym sposobem zro-

bilibyśmy przedział między cnotą i występkiem, a poniżając kobiety niegodne imienia matki lub żony, zasłużonem uwielbieniem otoczylibyśmy cnotę i poświęcenie.

Dziś przeciwnie, zdaje się że nie robimy żadnej różnicy między kobietami: wszystkim zarówno okazujemy grzeczność, nie gardzimy występkiem, obojętnie patrzymy na moralność i wewnętrzne przymioty, a przyszłą żonę lub matkę równamy z kobietą bez zasad, ale w klejnotach i w karcie. A jeśli się odwracamy od ostatnich brudów społeczeństwa, jeśli im oddajemy ukłony wtenczas tylko, gdy nas nikt nie widzi, za to odważnie i z całym szacunkiem witamy kobiety, które mając męża, dzieci, mając majątek i znaczenie, zuchwale naigrawają się z cnoty, lub rolę świętoszek oszukują opinią publiczną i z tryumfem przechodzą świat, bijący czołem nie przed prawdą, ale przed blaskiem i pozorem. Takie to kobiety powinniśmy zmusić do zdjęcia maski, takie dotknąć skuteczną pogardą, takie pyszne ciała a niskie dusze, postawić w wyraźnem odosobnieniu.

Kobieta, jeśli pragnie naszych względów i hołdów, niema potrzeby pracować myślą, zachwycać sercem, bo blichtrzem i znaczeniem wszystko zdobędzie, bo kokieterią zmieni nas w swych niewolników. Powiecie że kobieta dobra wiecznie dobrą będzie, że mężczyźni bynajmniej wpływać na nią nie potrzebują. Tak jest, i dziś mamy dobre matki, dobre żony; ale ogół niewieści zaprowadzony w manowce, potrzebuje świętości i cudu, aby bez naszej pomocy, bez naszego wpływu, przedarł się przez wszystkie zasadzki, ominął sidła ze wszystkich stron mu stawiane. Powiecie że kobieta sama powstać może, że ona i nas i siebie zdolna sprowadzić na właściwą drogę, że ona jednem słowem zapala serce mężczyzny miłością do tego co piękne, co godne poświęcenia, jednem zakłębieniem wzbudza w nim zapał i chęć tryumfu. Prawda, kobieta swym słowem i zakłębieniem nawróci mężczyznę, jeśli ten jest mężczyzną przez rozum, wolę i siłę swego ducha; ale nawrócić nas, którzy wyrzekliśmy się całej męzkości, zamiast zapału posiadamy kwilenie, zamiast powagi kokieterią, zamiast prawdy fałsz, znużenie, jest niepodobieństwem. Gorące słowo niewiasty nic nie zbudzi w takim człowieku; on go wysłucha i wnet zapomni, bo nie mając wiary w siebie, nie wierzy i w kobietę. Nauczmy się gardzić niecnotą, zniszczmy tolerancją występki, zerwijmy z miękkością życia, wyrzeczmy się ponęty blasku i rozkoszy, a samym czynem tylko zmusim niewiastę, że cnotą będzie zarabiać na naszą pochwałę, że sercem i jego skarbami płacić będzie za hołd uczciwy. Odważmy się głośno potępić występki, głośno słać cnotę; nie wstydźmy się oddać ukłon najprzód tej, która choć uboga, ale bez skazy na niewinnej duszy; nie wielbmy kobiet pyszniących się nie dziećmi swemi, nie mianem dobrej żony i godnej obywatelki, ale rodem, położeniem towarzyskiem i zdobytym rozgłosem; nie towarzyszymy córkom tych ojców, co tolerując złe, dla dziecka szukają tylko bytu; nie powstawajmy przed matkami, gotowemi sprzedać swe dziecko temu, kto najlepiej za nie zapłaci, lecz zapłaci nie miłością i dozgonną opieką, ale gotowym groszem, zbytkiem i miękkością życia. Zróbmy to, a ręczę wam że wkrótce nie zobaczymy w naszym społeczeństwie kobiet, które w ciemności wiecznie żyć powinny; dziewice i matki odsunę się od nich, tolerancja obrażająca niewinność miejsca mieć nie będzie, i znowu czynem sprawim to, czego sprawić nie mogły morały i kazania.

Przedewszystkiem nauczmy się cenić wstyd niewieści, pamiętajmy że ona jest pod strażą naszego oka, naszego słowa; wstyd niewieści osłaniajmy szlachetnością swoją, walczmy za niego i brońmy go od skazy. Niegdyś w Grecji, gdy dziewice niczym się nie dały powstrzymać od samobójstwa, zagrożono im że po śmierci będą obdarte z sukien i wystawione na widok publiczny; to jedno zmusiło je do zaprzestania szalonych poświęceń. Niegdyś Polki przekładały dobrowolną śmierć, nad rozkosze w niewoli sułtana; dlaczegóż dziś nie mamy wierzyć, że uwielbiając to tylko co godne uwielbienia, potrafim sprowadzić kobietę na drogę zacnej matki, żony i obywatelki kraju?

Dajmy rękojmnie że chcemy tylko serca, tylko miłości i szlachetnej duszy, upewnijmy dziewicę że i bez pieniędzy znajdzie takiego, co jej poda rękę i poprowadzi do ołtarza, odzwyczajmy ją od rachuby i obli-

czeń na przyszłość, kochajmy cnotę, a cnota nie zaginie.

My życiem, myślą, wpływamy na poprawę niewiast; nie wymagamy aby one nas wprowadzały na drogę, z której dobrowolnie zeszlismy; lękajmy się upaść tak nisko, aby istoty, którym od nas należy się opieka, miały nam przypominać obowiązki życia; raz się zawstydzmy tego, że często dziś żona daje z siebie przykład mężowi jak ma służyć Bogu, rodzinie i ludziom, jak spełniać obowiązki wiary, jak kochać naszą przeszłość, jak zbroić się przeciw wszelkim przeciwnościom.

Wówczas dopiero młodzieniec czystą dłoń podaje swiej narzeczonej, pierwszy pocałunek złoży na jej niewinnem czole, i dziewica dumną będzie że hołd odbiera od tego, który z zapałem i z wiarą w swoje siły, pokochał ją sercem pełnem miłości, a nie rozumem pełnym spekulacji; wówczas żona szanować będzie męża, który godnie ocenił jej przymioty; wówczas matka będzie mogła swym dzieciom przypomnieć ojca i powiedzieć: „Tak żyćcie jak on żył, tak kochajcie i pracujcie jak on pracował.“

Od kolebki więc, od ołtarza aż do grobu, mężczyzna powinien przewodniczyć kobiecie, jego światło powinno ją kierować, jego ramię prowadzić ją przez życie pełne zasadzek i przepaści. Ojciec nad kolebką swego dziecka niech stawia tylko taką matkę, która gotowa wyrzec się świata, aby ocalić najdroższy owoc małżeńskiej miłości; młodzieniec niech do ołtarza idzie tylko z kobietą bogatą w cnoty naszych matek; mąż niech za jedyną towarzyszkę aż do grobu ma tylko żonę; niech gardzi zdaniem Demostenesa, radzącego uważać żony za dozorcynie dzieci, a uboczne kochanki za istoty dające wartość naszemu życiu; niech słuca zasad swjej wiary, która każe czerpać szczęście tam tylko, gdzie spoczęło błogosławieństwo sakramentalne. Unikajmy wytwornych salonów Aspazji, w których młodzież uczyła się jak żyć rozkosznie i zniewieściale, gdzie dziewice dowiadywały się jak podbijać swemi wdziękami, gdzie żony zdobywały sztukę, jak przymiotami ciała, dowcipem i zalotnością, przynęcać i zniewalać mężczyzn. Szukajmy żon, a nie zalotnic, szanujmy matki, a nie zbytnice, uwielbiamy tylko cnotę, bijmy czołem tylko przed niewinnością, a świat zmienić się musi!

I wtenczas dopiero, jeśli jeszcze kobiety nie powstaną z upadku, jeśli gardząc naszym wzorem, pójdą swoją drogą, jeśli i wtenczas rodzina nie będzie miała dobrej matki, za wszystko złe potępić je wyłącznie, ale dziś jeszcze, panowie, wina ich jest winą naszą.

Zacne czytelniczki, bo do takich tylko przemawiam, nie sądźcie bynajmniej że przyczynę złego jakie widzę w kobietach zwalając na mężczyzn, was uwalniam od wszelkiej odpowiedzialności; przeciwnie, myślny winni jako powód, wyście winne jako czyn. Jeśli utrzymywał że berło rządów świata należy do mężczyzn, nie myślcie że bym was pozbawiał wszelkiej samodzielności; owszem, jesteście naszymi towarzyszami, a towarzysze wspólnie radzi, obmyśla i rządem kieruje.

Zdaje mi się że nie zblądziłem, postawiwszy waszego ojca i męża na stanowisku, na którym nic go ustraszyc, nie poniżyć nie powinno, że wam oddając kapłaństwo rodzinnego ołtarza, otworzyłem drogę do pracy i poświęceń. Za jedno tylko możecie mieć do mnie urazę, a to za to, że zwątpiłem abyście były zdolnymi, mimo waszego zepsucia, poznać swe wielkie powołanie, że śmiały powiedzieć, iż chyba cudem niewiasta, bez naszej pomocy, z mylnej drogi zejśćby mogła. Za mało oceniłem potęgę waszego serca, siłę waszego wstydu i uczucia godności, za lekko spojrziałem na te walki, w których nieraz kobiety, same jedne wojując, odnosiły zupełne zwycięstwo.

Starajcie się aby mężowie wasi przyszli do was z wyznaniem, że takich żon niegodni. Gdy my odmawiamy wam czystej miłości, wy nie dumajcie, nie niewiarą odpłacajcie, lecz cierpliwością, poświęceniem i miłością bez granic. Powiecie że żądam od was ofiary, ale któż jeśli nie kobieta rezygnacją sprowadza szczęście w domowe progi? przez cóż jeśli nie przez ofiarę wybiega na czoło wasze znamię tego anielstwa, jakie wam ludzkość przyznaje.

(Dokończenie nastąpi.)

O FILTRACH Z WĘGLA PLASTYCZNEGO DO KLAROWANIA WODY.

Do bardzo ważnych i pożytecznych wynalazków tegoczesnych należą bezwątpienia **filtry węglowe**. Wiadomo bowiem, że węgiel pochłania wszelkie szkodliwe gazy, i wodę najbrudniejszą czyni zdrową i dobrą do picia.

Są to całkowite lub wydrążone kule z węgla plastycznego, których jest przeznaczeniem oczyszczać najbrudniejszą wodę.

Takie same filtry jak do wody, mogą być używane i do wielu innych płynów, jak np. do piwa, octu, wina, oleju i t. p.

Do płynów zafarbowanych, jakoteż do spirytusów, są oddzielne filtry. To się znaczy, że kula węglowa do każdego rodzaju płynu musi być inna. Nie można więc jedną i tą samą kulą filtrować piwa i octu, wody i spirytusu. A to dlatego, że kit użyty do przymocowania kranu, mógłby się rozpuścić w spirytusowych płynach i spowodować przemianę.

Filtry do wody są dwójakie: Rezerwarowe i kieszonkowe, które są niżej opisane.

FIGURA 1. Przedstawia wyżej opisany lewar do środka naczynia włożony, w ten sposób, że jego rurka do wyciągania powietrza i kran do wypuszczenia klarowanej wody, wychodzą na zewnątrz naczynia.

FIGURA 2ga i 3cia Wskazują ten sposób użycia filtrów, w dwóch na sobie stojących naczyniach, z których wyższe służy za rezerwar do przefiltrowanej wody. Dłuższe ramie lewaru jest bez kranu, a oczyszczona woda z niższego naczynia może być wypuszczona za pomocą osadzonego na nim kranu.

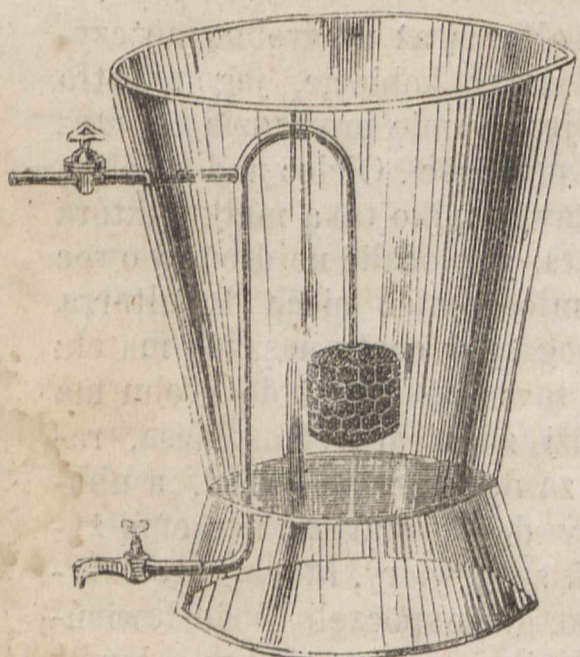


FIGURA 1.

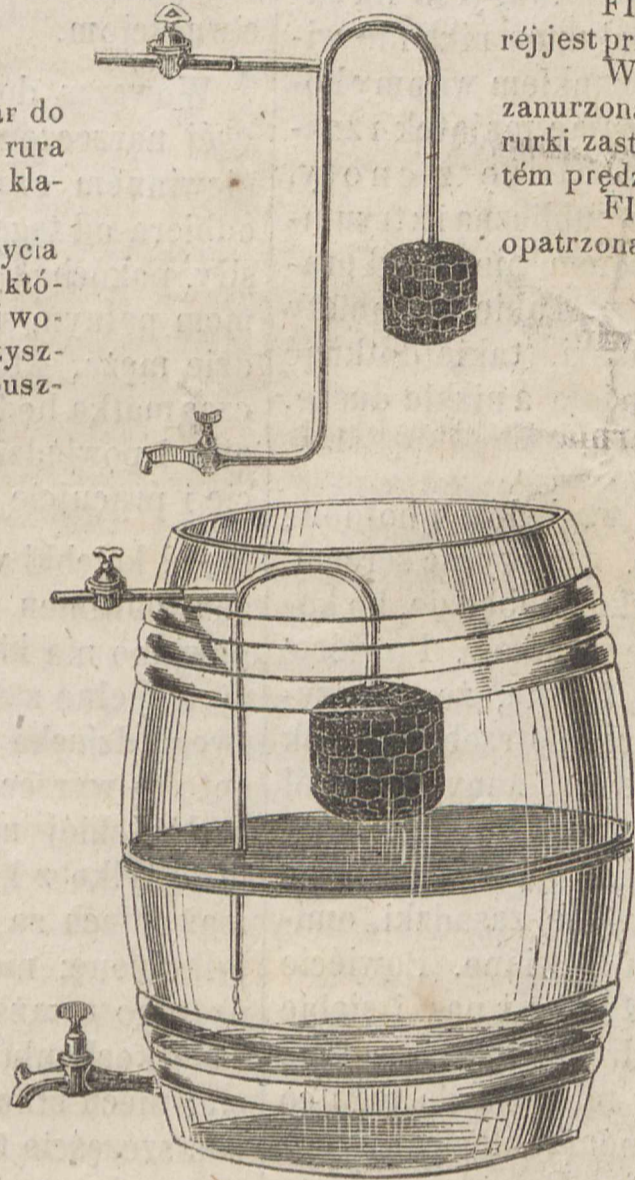


FIGURA 2.

Rezerwarowe Filtry z węgla plastycznego do klarowania najbrudniejszej wody, na potrzebę domową i fabryczną.

SPOSÓB UŻYCIA.

Wydrążona kula z węgla plastycznego osadza się na lewarze metalowym, szklanym, porcelanowym lub t. p. Lewar mający średnicy 3/4 cala zakończony jest kranem do wypuszczenia wody, ma w odległości dwóch cali poniżej zagięcia, przytwierdzoną rurę z kranem do wyciągania powietrza służącą.

Taki lewar zawieszają się na krawędzi jakiegokolwiek naczynia, w ten sposób, aby osadzona na nim kula węglowa była ze wszystkich stron oblana wodą przeznaczoną do filtrowania. Następnie wyciąga się powietrze z rury na ten cel służącej dotąd, póki woda nie dojdzie do ust, i zakręca się kurek. Otwiera się potem kran lewaru, a wtenczas woda już oczyszczona niustannym strumieniem płynąć będzie.

FIGURA 4ta. Daleko widoczniejszą użyteczność filtrowej kuli z rurką elastyczną przez wydrążenie której jest przeprowadzona rurka metalowa opatrzona kranem.

Wrzuca się kula węglowa do naczynia napelnionego nieczystą wodą, tak, aby całkiem była w niej zanurzona i wyciąga się powietrze z rurki elastycznej, wtedy wewnątrz kuli napelnia się wodą, która za pomocą rurki zastępującej lewar, nieprzerwanie płynąć będzie. Im ramie lewaru zwieszono u krawędzi jest dłuższe, tym prędzej odbywa się filtrowanie.

FIGURA 5ta. Przedstawia użycie filtrów rezerwarowych w cysternie (ocembrowaniu), która jest opatrzona kranem. Przymocowuje się kula do kranu za pomocą metalowej, albo gumowej rury. W tym razie kula ma wentylator (rurę do wyciągania powietrza) z gumy, który nad powierzchnię wody wystaje. Rura ta zanurza się w wodzie przeznaczonej do filtrowania, w tedy w jej wnętrzu oczyszcza się woda, stając się klarowną i świeżą. Przez kran umieszczony w cysternie można według potrzeby, wodę przefiltrowaną z kuli wypuszczać.

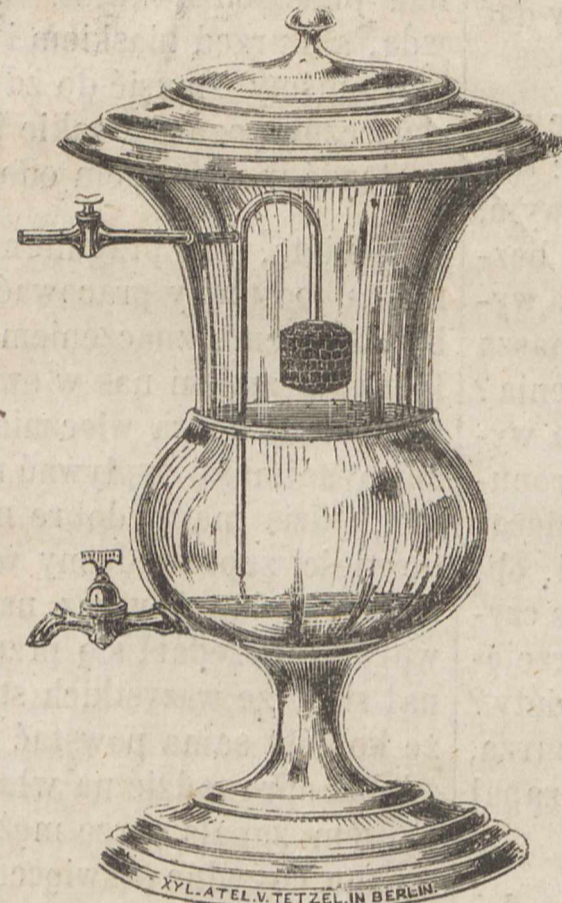


FIGURA 3.

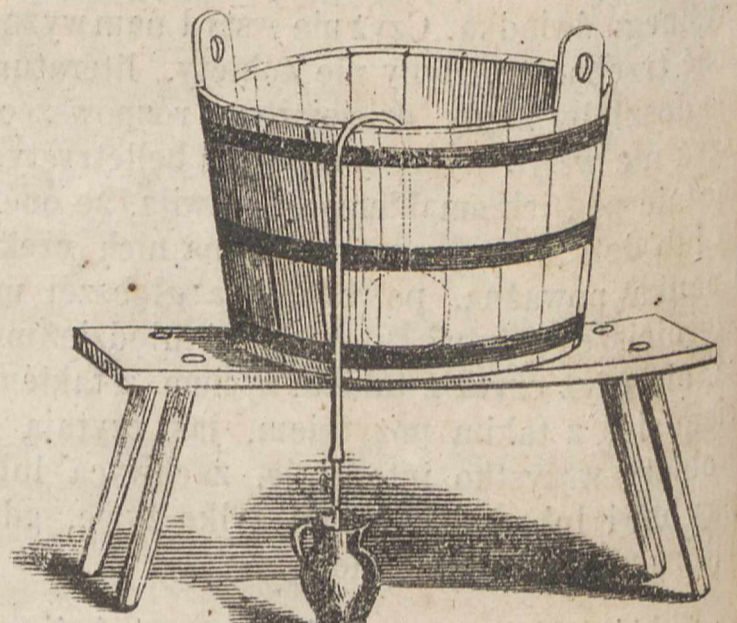


FIGURA 4.

Przed użyciem powinny być kule filtrowe przez pewny czas oplukiwane w czystej wodzie, a to dlatego, aby pozbawić gumową rurkę jej właściwego smaku, i usunąć pył (kurz) mogący się znajdować w dziurkowatości filtrowej.

Po każdym użyciu filtrów, kula starannie powinna być obmyta, i przez rurkę wydmuchaną. Tym sposobem nieczystości, któreby mogła dostać się do dziurkowatości kuli, wyparta zostanie wdmuchywaniem powietrzem.

Filtry te, po cenach niższych są do sprzedania w składzie głównym farb i lakierów J. A. Krausse, przy ulicy Miodowej, nro 484, wprost Rządu gubernialnego, po cenach następujących: jeden filtr kieszonkowy z rurką gutaperchową, rs. 1 kop. 25; rezerwarowy nro 1, rs. 2 kop. 50; rezerwarowy oplatan, rs. 2 kop. 65; rezerwarowy nro 2, rs. 3 kop. 50; rezerwarowy oplatan, rs. 4 kop. 50; rezerwarowy nro 3, rs. 4 kop. 60; jedna rurka gutaperchowa z kranem.

FILTRY KIESZONKOWE Z WĘGLA PLASTYCZNEGO.

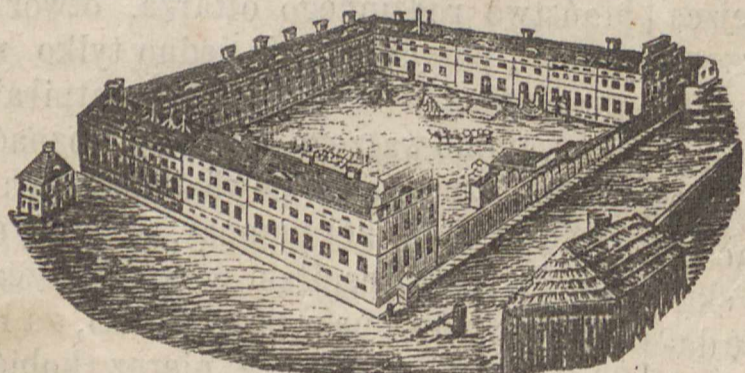


SPOSÓB UŻYCIA.

1) Dziurkowata kula z węgla plastycznego wrzuca się do naczynia napelnionego wodą nieczystą, na górnej krawędzi naczynia zawieszają się rurką gumową i wyciąga się z niej powietrze. Rurka przedstawia tu lewar, przez który woda czysta i klarowna ciągle płynąć będzie tak długo, dopóki kula całkowicie lub w części zanurzona będzie w wodzie nieczystej. Im rurka jest dłuższą, tym prędzej odbywa się filtrowanie.

2) Wrzuca się kula do brudnej wody, umieszcza się osadkę rurki w ustach i wciąga się czystą wodę, do picia sposobną. Aby filtry oczyścić, trzeba kulę po użyciu wypłukać i przez rurkę wydmuchać. Tym sposobem nieczystości, które się zakradły do wnętrza kuli, przez dziurkowane otwory z wydmuchaną wodą ustąpić muszą.

SPRZEDAŻ



BROWARU

SLYNNIE PRZEZ LAT 32 ISTNIEJĄCEGO.

Nieruchomość tu w Warszawie pod nrem 1108, przy ulicy Krochmalnej i ciepłej położona, składa się z dwóch połów czyli części, to jest z dwóch pojedynczo jeden od drugiego rozdzielonych browarów litery A i B, z któ-

rych obecnie ma być tylko jedna większa część litera B, dla dogodności, przystępniejszego mniej utrudzającego kupna sprzedana. Część ta litera B zawiera gruntu łokci kwadratowych 7,050 mieści w sobie:

BROWAR,

Obszerne zabudowania mieszkalne z wszelkimi dogodnościami.

którego urządzenie oszczędza wiele czasu; pracy, materiału, zawiera najnowsze, najlepsze, w części jeszcze nie wszystkim znane maszyny do ułatwienia najtrudniejszych robót jakoto: zacieru, pompowania wody, brzezki piwa,

windowskiego zboża, wielkich kuf, osobliwszą maszynę miedzianą, która stawia piwowara w możności nawet i letnią porą warzyć doskonale, nader trwałe, zwyczajne, bawarskie piwo i porter; posiada przedewszystkiem pra-

wdziwy skarb, studnię z niewyczerpaną najzdadniejszą wodą do warzenia piwa, kosztowną komunikację rur miedzianych do piwa, kotły, rezerwuary miedziane, młyn, spichrze, sztuczne piwnice zapewniające bez użycia lodu wszelkie bezpieczeństwo dla piwa zapasowego, suszarnie, które ogniem z pod kotła warzącego piwa uchodzącym, suszą równocześnie masę wyborowego siodu, przez co jak wiadomo, nietylko osiąga się dobre trwałe piwo, ale i wielką oszczędność materiału palnego.

To zabudowanie

może być łatwym sposobem i tanim kosztem wrazie potrzeby przerobione na inny cel jakoto na:

Same obszerne okazałe mieszkania,

lub też częściowo służyć za browar połączony z inną fabryką i mieszkaniami, coby jednak szkoda było, gdyż zapasy piwa bawarskiego i innych dotychczas w kraju wyrabianych piw, nie wystarczają na Warszawę i na prowincję, zaś napój ten w lecie nie jest jeszcze wyrównujący prawdziwemu bawarskiemu wyrobowi.

Cały budynek

łączy brandmury z ogniotrwałymi żelaznymi

drzwiami, ubezpieczającami od pożaru, w ogólności wszystkie urządzenia i budowle są trwałe budowane według zasad nowszego i lepszego rodzaju.

Nieruchomość nro 1,108 lit. A i B, oszacowaną jest przez Dyрекcyę Ubezpieczeń na rubli srebrnych 157 922 kop. 37; długu hipotecznego ciężki tylko rubli srebrnych 48,845 kop. 20. Część większa nieruchomości nro 1,108 lit. B mająca się obecnie sprzedać wykazuje realną rzeczywistość takse rubli srebr. 86,390. Oszacowanie zaś teje części przez biegłych sądowych wynosi tylko rubli srebrnych 40 860.

Sprzedaż nastąpi niezawodnie w dniu 13 (25) maja r. b., o godzinie 10ej z rana w terminie ostatecznego przysądzenia (po usunięciu już wszelkich sporów prawomocnie) w Trybunale Cywilnym gubernii Warszawskiej w Warszawie. Licytacja zacznie się od 2/3 części taksy, to jest od sumy rs. 27,240. Vadium rs. 3,000. Cała nieruchomość i zabudowania browarne, mogą każdego dnia chęć mającemu po szczegółowo być okazane i objaśniane, zaś przystępne warunki licytacji i takse przejrzeć można w kancelaryi Wgo pisarza Trybunału wydziału Igo i u Wgo Andrzeja Brzezińskiego adwokata przy ulicy Podwał no 497 lit. A zamieszkałego.